

FOLHA POLONÊSA

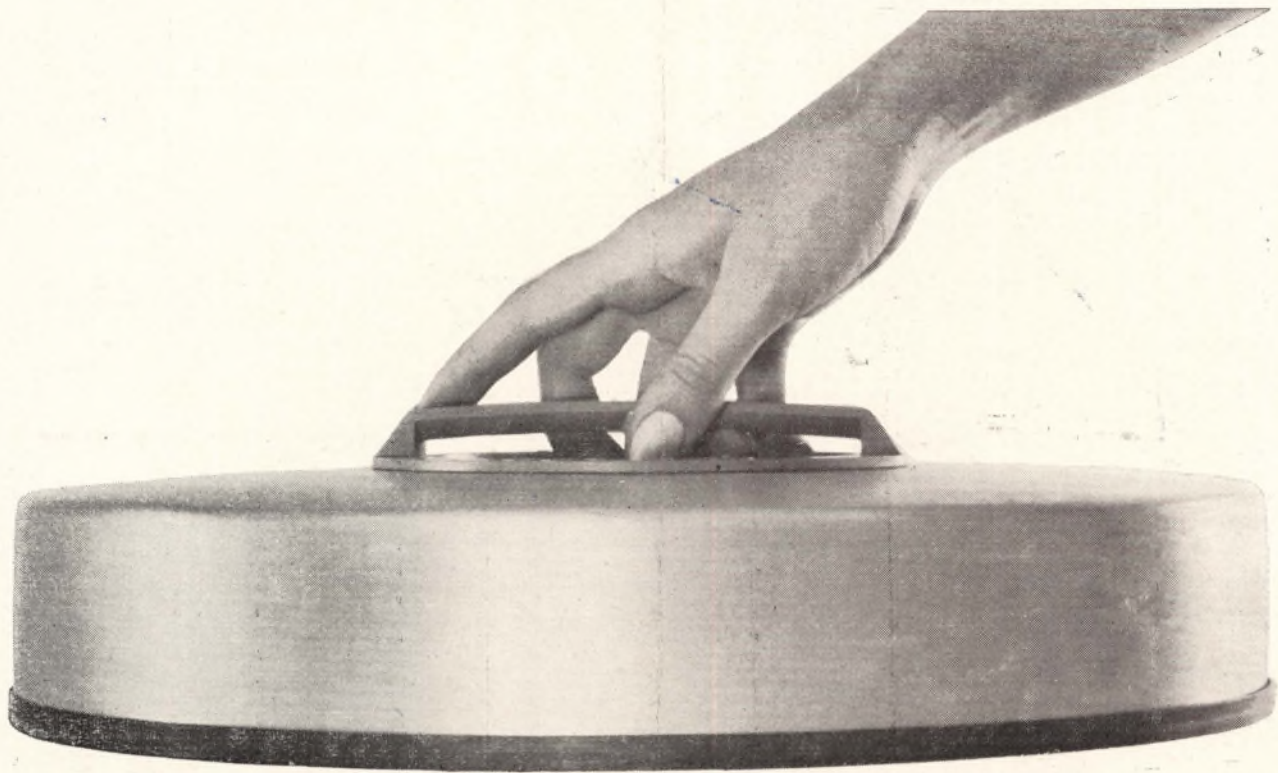
PRZEGLAD POLSKI

REVISTA
POLONÊSA



Ano IV Maio 1963

29



EQUIVALENTE A 25.000 CARTÕES PERFURADOS



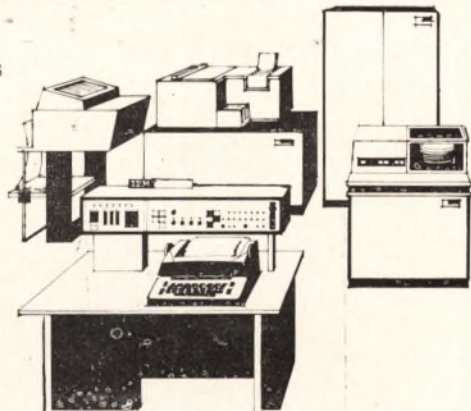
Isto é uma memória removível de discos.

Tem o volume de uma pequena pilha de discos de vitrola, mas é equivalente a 25.000 cartões perfurados, com capacidade de armazenar até 2.980.000 caracteres de informação.

A memória removível de discos foi lançada com o NÓVO IBM 1440, um computador de baixo custo, ao alcance das indústrias de pequeno porte... Realiza a mesma tarefa básica dos grandes computadores e dá respostas administrativas em questão de segundos.

Pesando menos de cinco quilos e contendo, cada uma, seis discos magnéticos, as memórias do NÓVO IBM 1440 são intercambiáveis e podem ser trocadas facilmente, em apenas 50 segundos. Isto significa armazenamento ilimitado de informações.

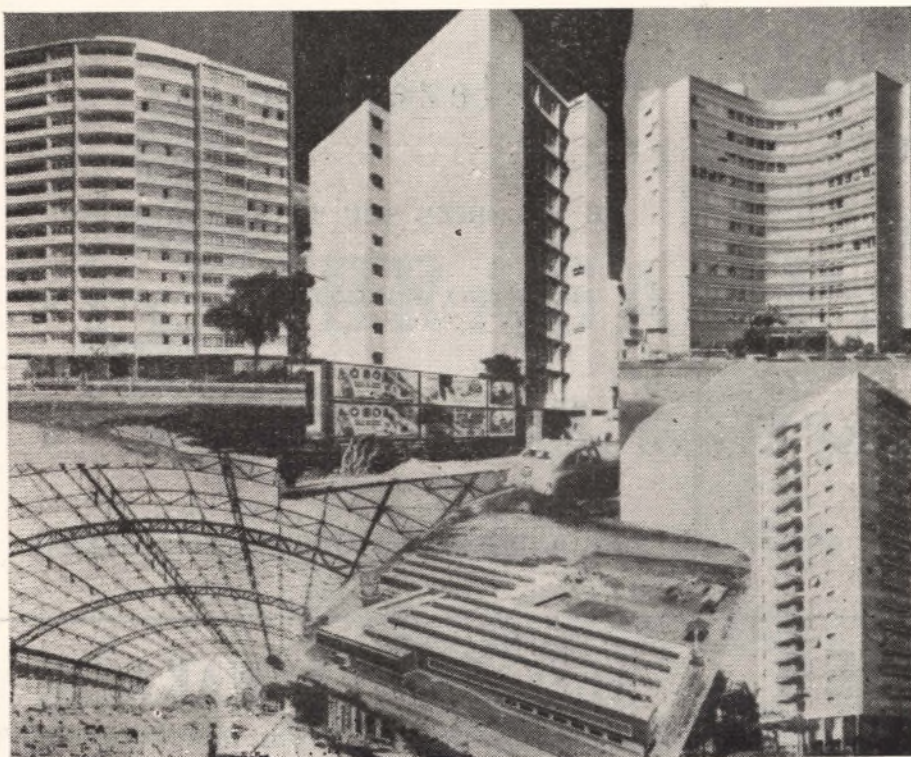
Será o NÓVO IBM 1440 o seu primeiro computador?
É muito provável que sim.



IBM 1440
IBM DO BRASIL LTDA.

RIO DE JANEIRO: Av. Rio Branco, 80 - 6.º and. - Tel. 23-8566
SÃO PAULO: Avenida São Luiz, 86 - Telefone 32-5167

FILIAIS: Belém - Belo Horizonte - Brasília - Curitiba - Fortaleza - Niterói - Porto Alegre - Recife - Salvador - Santos



Organização completa de
construções e projetos
de edifícios
industriais,
residenciais
e obras de
engenharia

12 ANOS DE
TRADIÇÃO

Construtora e Imobiliária Treset S. A.



AVENIDA S. JOÃO, 1086 - 4.º And. - FONE 36-7186 (rêde interna) - SÃO PAULO

“INTRA FERRO”

Indústria de Trefilação de Ferro Ltda.

Trefilação de metais não ferrosos:

Alumínio

Alpaca

Cobre

Latão

Av. Celso Garcia 1.338

fores: 93-14-76

93-26-00

São Paulo

REBÔLOS ESPECIAIS

LIGAS:

- VITRIFICADA
- RESINOIDE
- GOMA-LACA

MBM

INDUSTRIA DE ABRASIVOS S.A.

Rua Fernandes Vieira, 174 - Belém - Fones: 92-2764 e 93-9700.

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

E L O B R A

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

PELES METZGER

Istniejąca od wielu lat i ciesząca się zaufaniem klienteli firma FUTER DAMSKICH.

Na składzie duży wybór futer, jak: **nurki, oceloty** i wiele innych, w najlepszych gatunkach.

Ceny bardzo umiarkowane.

Osobny dział napraw i przeróbek wszelkiego rodzaju futer

São Paulo, — Praça da República, 242 — 3 piętro.
Telefon: 36-7000.

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O

MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO
1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacery,
konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska. — CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową 45 km. przez Cotia, Roselandia, Itapevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.
Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9

KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJÁ

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Telegr.: "COPINDUS"



Artykuły luksusowe męskie. Artykuły importowane. Materiały krajowe i zagraniczne.

Pracownia krawiecka
(kierownictwo włoskie)
KOSZULE NA MIARĘ

Dandy

J. Grunpeter (dawn. Katowice)
R. Oscar Freire 667 (esq. R. Augusta)
SÃO PAULO

Dr. Arnaldo Serroni

ADVOCADO

Causas cíveis, comerciais, criminais,
trabalhistas e fiscais, inventários, despejos etc.

Praça da Sé, 96 — 5.º Salas
84, 89 e 90 — Tel.: 32-2461

SÃO PAULO



BRASAMPA S/A

Assistência técnica para
indústria do plástico

Av. Ipiranga, 1248 - Conj. 1107

São Paulo - Capital

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO incorpora nowoczesne i komfortowe domy *mieszkalne*.
W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12 piętro. Tel. 33-4737

Caldeiraria e Mecânica INOX Ltda.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —



RESERVATÓRIOS
AUTOCLAVES
CALDEIRAS
TANQUES
TACHOS



EQUIPAMENTO P/INDÚSTRIAS

- ★ Química - Farmacêutica
- ★ Gorduras - Sabões
- ★ Perfumarias - Cosméticos
- ★ Têxtil - Tinturarias
- ★ Papel - Papelão
- ★ Conservas - Chocolates
- ★ Carnes - Frigoríficos
- ★ Lactínios - Pasteurizados
- ★ Bebidas - Distilarias
- ★ Plásticos - Borracha
- ★ Tratamento de água

ESCRITÓRIO E FÁBRICA:
Rua Oliveira Lima, 455
C a m b u c i

Fone: 35-4995
SÃO PAULO

"BRASTRAF" INDÚSTRIA DE TREFILAÇÃO S. A.



Trefilação de:

Tubos de aço com ou sem costura.

Barras cheias redondas e com todos os perfis.

Arame de aço.

Rua Ibitirama, 1.800
V. Prudente
Enderêço telegráfico
"BRASTRAF"

Enderêço para correspondência
Rua 7 de Abril, 252 — 10.º

Fones: 63-3100
63-3109

SÃO PAULO

MIRVAINE

Importação Ltda.

Rua Cons. Crispiniano, 379

7.º Andar — Sala 701

Telefone: 35-3846

SÃO PAULO

ABC - DISTRIBUIDORA DE METAIS S/A.

Distribuidora da Cia. Sid. MANNESMANN.

Av. Industrial, 621 — Tel: 44-5573 — SANTO ANDRÉ

RURY BEZ SZWÓW (MANNESMANN)

czarne i galwanizowane DIN 2440, 2441, 2448 i Sch. 80

do wody, gazu, kotłów i przemysłowe.

Indústria Metalúrgica

STELLA LTDA.

TUBOS "ELETRODUTOS"

TUBOS TREFILADOS

TUBOS PARA QUALQUER FIM INDUSTRIAL

Escritório: — Rua Conselheiro Crispiniano

N.º 53 — 9.º andar — conj. 93

Telefones: — 35-9189 e 35-9180

SÃO PAULO

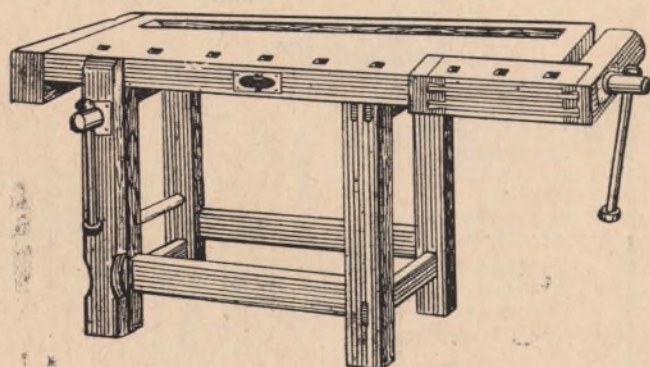
Fábrica — Via Monteiro Lobato, 3097

Guarulhos

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, — SÃO PAULO



Fabrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów i t. p. Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

SPRZEDAJĘ i PRZYJMUJĘ

W KOMIS

KSIĄŻKI POLSKIE

SEWERYN HARTMAN

Rua Barão de Itapetininga, 140

s. 133 — Cx. Postal, 6335

Tel.: 37-5741

SÃO PAULO

Tipografia

ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego

rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

WYKONANIE SOLIDNE

I TERMINOWE

Construções

Mecânicas

Rozenowicz Ltda.

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI

Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO

Paczki i pieniądze

DO POLSKI I ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

TAZAB — LONDON

P.K.O. — WARSZAWA

Zastęstwo

Empresa — J. RAJIC LTDA.

Praça da Sé, 399 — 4.º

Telefon: — 33-4983 i 36-8530

SÃO PAULO — BRASIL

A Infantil Ltda.

Modas finas para crianças
Fabricação própria
Especialidade em ARTIGOS
COLEGIAIS

LOJAS:

Rua São Bento, 188

Telefone: 33-4460

Inscrição 19.296

Rua Direita, 70

Telefone: 33-2023

Inscrição 96.518

SÃO PAULO

MICHEL TECIDOS

CASIMIRAS — LINHOS — TROPICAIS

E TWEEDS

VENDAS POR ATACADO E VAREJO

Rua José Bonifácio, 222 - Esq. S. Bento, 2

Telefone: 33-3305

SÃO PAULO

PASSATOURS VIAGENS E CAMBIO LTDA.

Agente exclusivo de "ORBIS"

TURISMO
PASSAGENS
SÃO PAULO
Rua São Luiz, 100

Caixa Postal, 2.620

VIAGENS
CARGAS
Telefones:

33-7337 — 36-1808

37-0944

End. Telegr. PASSATOURS.

LUD

O MAIOR JORNAL
POLONES DA AMÉRICA
LATINA
FUNDADO EM 1920

BOA IMPRESSÃO
VASTA DISTRIBUIÇÃO
TRADIÇÃO

Circulação

É O PRIMEIRO EM
TERRAS DO INTERIOR
PARANAENSE!



Penetração

É O PRIMEIRO EM
PENETRAÇÃO NOS
LARES DO INTERIOR!



Vantagem

O "LUD" CONTA
COM MILHARES DE
LEITORES, QUE
TÊM O QUE VENDER
E COM QUE COMPRAR.

FAÇA DELES SEUS
CLIENTES. — SEU
CRUZEIRO RENDERA
MUITO MAIS.



ANUNCIE NO LUD

REDAÇÃO E ADMINISTRAÇÃO: — RUA CABRAL 846
FONE: 4-1057 — CAIXA POSTAL 155 — CURITIBA - PARANA

E FAÇA AGORA SUA ASSINATURA



REDADORES RESPONSÁVEIS: Casimiro Kinskowski e Sigismundo Schlegel.

REDATOR CHEFE: Seweryn A Hartman

DIRETOR ADMINISTRATIVO: Sergio Elia.

REPÓRTER: José Fassina

REVISOR: Adelio Buono

EDITADA: pela Editora Team Ltda.

Redação e Administração: — Rua Barão de Itapetininga, 140 conj. 133 - C. Postal 4530 - Fone: 37-57-41 - S. Paulo - Brasil.
Assinaturas: Cr\$ 800,00 anuais (12 números). Para os estados do Paraná, Santa Catarina e Rio Grande do Sul Cr\$ 500,00.
Para o exterior: US \$ 3,00. Número avulso Cr\$ 70,00.

Composto e impresso nas oficinas do jornal "LUD" — Al Cabral, 846 — Curitiba — Paraná.

POLITYKA, A RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA, A RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA, A RZECZYWISTOŚĆ

"PUNKT WIDZENIA"

Przypatrując się rozgrywkom politycznym dochodzi się do przekonania, że stanowiska stron w polemikach zależne są prawie wyłącznie od ciasno pojętego interesu osobistego. Wyras "sprawiedliwość" staje się w tych warunkach pustym sloganem. Można nim załatać każdą nieprawość, każdy szwindel.

W dyplomacji nazywa się to "punktem widzenia". Co jest złe z punktu widzenia przeciwnika zawsze bywa dobre z naszego punktu widzenia, choćby kłóciło się z prawdą. Chodzi tylko o zachowanie pozorów, takie wykręcenie "kota ogonem", żeby przeciwnik nie miał racji. Posiada to ogromne znaczenie przy myśleniu oczu opinii publicznej.

Ostatnio stało się modne w pewnych kołach pomawianie określonych stronnictw i poszczególnych ludzi o komunizm. Jeżeli zaś tego rodzaju zaszeregowanie nie wydaje się z tych czy innych względów możliwe, jako zbyt wyraźnie szyte białymi nićmi, przykleja się instytucji lub człowiekowi łatkę filokomunizmu.

Co to jest filokomunizm? Ano — wszelka myśl bardziej postępową. Dążenie do polepszenia bytu warstw upośledzonych, walka o naprawę ustroju społecznego w zgodzie z zasadami chrześcijańskimi, wystarczą do zakwalifikowania kogoś jako filokomunisty. Ze to niby od tego się zaczyna, "od łyżeczki do rzemyczka". Najpierw, panie, gada się o szkołach dla dzieci murzyńskich, a potem kończy na mordowaniu burżujów.

Wiadomo zaś, że każdy wyssany z palca i często powtarzany zarzut znajduje po pewnym czasie ludzi, którzy weń uwierzą. Zwykło się przecież mówić w tych wypadkach, że nie ma dymu bez ognia. Niekiedy powiedziane na ucho kłamstwo rozrasta się później do monstrualnych rozmiarów.

Jeżeli chce się uderzyć psa zawsze się znajdzie kij pod ręką.

O jednym z naszych kolegów redakcyjnych człowiek nie tyle może zły, co głupi (jak ów Kowalski z Trylogii, któremu Zagłoba zaproponował: "Mów mi wuju!") rozpowszechnia bajkę, że był wielkim działaczem komunistycznym na Ziemiach Odzyskanych. Sęk w tym, że ów kolega nie tylko nigdy nie należał do partii komunistycznej, ale w ogóle nie mieszkał na Ziemiach Zachodnich. Tylko, że co to ma za znaczenie. Grunt, aby faceta kropnąć!...

I poco to komu potrzebne takie kalamnie — nie wiadomo. Czasem się myśli, że po prostu dlatego, żeby strzepić sobie gębę. Bo to kochani rodacy jak kogo nie obmówią, to już czują się niedo-brze, spać nie mogą spokojnie. A czasem człowiekowi się zdaje, że ci oszczercy są jak owe legendarne węże, które karmią się własnym jadem. Pełni nieważności wężą nieprawość tam, gdzie istnieje ona tylko w ich robaczywym sercu.

Od dłuższego czasu np. krają uporczywe pogłoski, że pismo nasze otrzymuje subwencje od Polski Ludowej. Ci, którzy to mówią, nie mają na to żadnych dowodów, bo i mieć nie mogą. Plotka, zrodzona w ich chorych mózгах, znajduje, ich zdaniem, potwierdzenie w fakcie zajmowania przez nas neutralnego stanowiska wobec zjawisk politycznych.

Wielokrotnie pisaliśmy już o tym, że jesteśmy apolityczni i będziemy nimi nadal. Jednakowo przeciwni ideologii

skrajnie lewicowej, jak i skrajnie prawicowej, staramy się zachować w naszych sądach jak największy obiektywizm. W stosunku do Kraju nie widzimy potrzeby ukrywania wad istniejącego tam systemu, ani też pomniejszania osiągnięć gospodarczych i kulturalnych. Bo jakkolwiek byśmy patrzeli na Polskę współczesną jest rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że wszystko cokolwiek zostało w tym kraju zbudowane po straszliwych zniszczeniach wojennych stanowi zasługę przede wszystkim Narodu Polskiego.

W końcu mamy prawo pisać co uważamy za stosowne, choćby się to pewnym ludziom na prawicy lub lewicy nie podobalo, właśnie dlatego, że nie bierzemy od nikogo pieniędzy, że borykamy się ciężko z losem, kierując tym piórem uczciwie i z poświęceniem. Możemy to oświadczyć publicznie z otwartą przybitą.

Wiemy, że pisząc to nie przekonamy oszczerców. Są oni bowiem "przeciwni" z samej zasady. Ich punkt widzenia pozostaje w zgodzie jedynie z raz na zawsze ukształtowanymi aksjomatami, rodzącymi się na podłożu obskurantyzmu i zacofania. Wszystko co nie jest im wygodne musi być zwalczane — per fas et nefas, w dobrze pojętym przeświadczeniu, że przysługują się w ten sposób Ojczyźnie.

Ale artykuł ten ma innych adresatów. Są nimi nasi przyjaciele, którzy podtrzymują byt pisma zamieszczając w nim coraz liczniej ogłoszenia i wspierając je ofiarami. Do tych przyjaciół, zawsze wiernych i ufnych w naszą prawość, zwracamy się pisząc te słowa. Bóg im za to zapłać!

ARAMIS

SPIS RZECZY:

Polityka i rzeczywistość .. str.	7 - 9
W świecie nauki	" 9 - 12
Przeszłość a teraźniejszość ..	" 12
Reflektorem po świecie	" 13
Podróże — Przygoda	" 14 - 16
Rzeczy ciekawe	" 17 - 18
Opowiadanie - Szkic	" 19 - 22
W Brazylii	" 23
Zagadnienia społeczne i gospodarcze	" 24 - 26
Na pograniczu bajki	" 24
W starym kraju	" 27 - 28
Na naszym podwórku	" 29 - 30

W chwili oddawania do druku niniejszego numeru PP doszła nas smutna wiadomość o śmierci Ojca Świętego Jana XXIII. Po krótkim, bo zaledwie 4 i pół roku trwającym kierowaniu losami Kościoła odszedł jeden z największych papieży, człowiek wielkiego umysłu, niestychanej dobroci i wspaniałej duszy. Jego encykliki "Mater et Magistra" i "Pacem in Terris" owiane duchem nowych czasów, zostały przyjęte z dużym uznaniem jako czynnik zmierzający do poprawy stosunków międzyludzkich i zachowania pokoju na całym świecie.

W pamięci ludzkiej świetlana postać Jana XXIII pozostanie na zawsze jako reformatora społecznego, któremu nie obce były ból i nędza człowieka.

Nie udało się, niestety, Papieżowi dokończyć dzieła, które miało być uwieńczeniem Jego żywota. Sobór Powszechny, który powinien był dostosować działalność Kościoła do wymogów dnia dzisiejszego, doprowadzony zostanie do końca przez Jego Następcę.

Bońska demokracja bez maski

ŁATWO TO IDZIE...

Propaganda zachodnioniemiecka bardzo lubi roztaczać obrazy bońskiej praworządności i demokracji. Toteż w wielu kołach na Zachodzie utarła się opinia, że choć w Niemczech panował w swoim czasie hitleryzm i choć również dziś jeszcze niekiedy spotkać można w NRF hitlerowca, to jednak w zasadzie ustrój demokratyczny funkcjonuje tam bez zarzutu, a praworządność jest tego ustroju nienaruszalną podstawą.

Ten optymistyczny sąd mocno nadwerzęły głośne już represje wobec niezależnego, a bardzo popularnego tygodnika hamburskiego "Der Spiegel". Nie tylko zresztą same represje, lecz także i sposób, w jaki je zastosowano oraz towarzyszące całej akcji niezwykle doprawdy okoliczności. A wreszcie — urzędowe "wyjaśnienia", złożone w parlamencie oświadczenia najwyższych przedstawicieli rządu, które — najdelikatniej mówiąc — mocno miały się z prawdą.

Snop jaskrawego światła rzuciło na całą tę historię oficjalne sprawozdanie rządowe opracowane przez kilka ministerstw bońskich na żądanie samego Adenauera. Pierwszy wymowny fakt: choć opracowywanie, przeredagowanie i przykrawanie raportu zajęło pełne 12 tygodni, choć opublikowano dopiero drugą wersję sprawozdania (pierwszą Adenauer odrzucił i odesłał do przeróbki) — nie zdołano sformułować uzgodnionej wersji wydarzeń. Inaczej naświetla pewne fakty ministerstwo obrony, inaczej ministerstwo spraw zagranicznych, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. A te naświetlenia i stwierdzenia odbiegają często w sposób zasadniczy od tego, co poszczególni ministrowie mówili osobiście w listopadzie, gdy odpowiadali na interpelacje w Bundestagu.

Najbardziej skompromitowany został były minister obrony — Franz Josef Strauss, jeden z głównych twórców Bundeswehry i fanatyczny zwolennik wyposażenia jej w broń atomową. Przyłapano go niejednokrotnie na zupełnie wyraźnych, niekiedy wręcz naiwnych kłamstwach, które nie świadczyły o jego zbyt wielkim szacunku dla przedstawicieli narodu — posłów do Bundestagu, jak i w ogóle całej opinii publicznej. Najpierw deklarował uroczyście, że z całą akcją przeciwko "Spiegelowi" nie miał w ogóle nic wspólnego — a niebawem okazało się, że był tej akcji główną sprężyną, że sam ją rozpętał, najwyraźniej po to, by zemścić się za występowanie tego popularnego tygodnika wymierzone przeciwko jego osobie.

Szczególnie zawstydzająca była sprawa aresztowania w Hiszpanii na żądanie Bonn zastępcy naczelnego redaktora "Spiegla" — Conrada Ahlersa wraz z małżonką. Bawili oni właśnie na urlopie, gdy rozpoczęły się represje wobec wydawcy i redaktorów tygodnika. Zastępca min. Straussa — Hopf, zaproponował, by zażądać od władz hiszpańskich aresztowania i wydania Ahlersa. Wszystkie kompetentne w tej sprawie czynniki w NRF — ministerstwo sprawiedliwości, federalna prokuratura generalna i federalny urząd kryminalny — orzekły, że nie ma podstaw prawnych, a więc i możliwości żądania ekstradycji Ahlersa, ponieważ nie wchodzi tu w grę przestępstwo kryminalne. Mimo to Hopf wraz ze Straussem podjęli akcję "na własną rękę". Oto min. Strauss zatelefonował w nocy do attache wojskowego ambasady NRF w Madrycie — płk. Oстера i opowiedział mu bajeczkę o rzekomym wykryciu wielkiej afery szpiegowskiej, która wiąże się

z kryzysem kubańskim. Oprócz redakcji "Spiegla" zamieszani są w niej wyżsi oficerowie. Strauss dodał, że wydawca "Spiegla" — Rudolf Augstein, uciekł już na Kubę (!). Minister oświadczył jednocześnie, że działa z upoważnienia zarówno kanclerza, jak ministra spraw zagranicznych i wydał Osterowi służbowy rozkaz, by spowodował ujęcie Ahlersa. Pod wrażeniem słów ministra Oster interweniował tak skutecznie, że władze hiszpańskie tej samej jeszcze nocy wyciągnęły Ahlersa z hotelu i osadziły w areszcie, a następnego dnia odstawily na lotnisko, skąd odleciał do NRF. Dopiero w kilkanaście godzin później przekazano z NRF nakaz aresztowania pod — znów bezprawnie — firmą "Interpolu", który powołany i upoważniony jest tylko do ścigania wyłącznie przestępstw kryminalnych...

... A minister spraw zagranicznych Schroeder, na którego aprobatę Strauss się powoływał, stwierdził w sprawozdaniu rządowym, że o niczym nie wiedział, choć być wówczas w Bonn i łatwo można było się z nim porozumieć. Jeszcze jedno kłamstwo Straussa.

Kłamstw takich było zresztą znacznie więcej, przy czym padły one nie tylko z ust Straussa. Socjaldemokratyczna frakcja parlamentarna opracowała swój własny szczegółowy raport w sprawie afery "Spiegla", oparty na faktach i urzędowych oświadczeniach. W raporcie tym stwierdzono czarno na białym, że członkowie rządu NRF szereg razy świadomie wprowadzali w błąd Bundestag i opinię publiczną, składając nieprawdziwe oświadczenia lub posługiwali się kłamstwami w toku samej akcji przeciwko hamburskiemu tygodnikowi. Konkretnie rzecz biorąc, Adenauer skłamał publicznie raz, minister spraw wewnętrznych Höcherl pięć razy, rekord zaś pobił Strauss, który posłużył się w tej sprawie kłamstwami aż 9 razy! Jak na szacownych mężów stanu to chyba nieźle...

Oczywiście, może ktoś powiedzieć, że przecież w następstwie tej afery Strauss musiał ustąpić z rządu. To prawda — ale nie pełna. Jego dymisja była skutkiem nie tyle bezprawnego postępowania i okłamywania opinii publicznej, ile raczej tego, że bardzo naraził się koalicyjnemu partnerowi CDU — Wolnej Partii Demokratycznej (FDP). Strauss polecił bowiem nie informować o całej akcji przeciwko "Spiegelowi" najbardziej kompetentnego człowieka: ministra sprawiedliwości! Stammbergera, członka FDP. Tego

despektu "wolni demokraci" nie mogli przeboleć i groźbą rozbicia koalicji wymusili na Adenauerze dymisję Straussa.

Czy jednak winien był tylko Strauss? Czy tylko on — abstrahując nawet od kłamstw — naruszył zasady praworządności i dobre obyczaje polityczne?

Jak przedstawia się rola ministra spraw wewnętrznych — Höcherla, który z urzędu powinien być strażnikiem konstytucji? Musiał on przyznać w Bundestagu, że aresztowanie Ahlersa w Hiszpanii nastąpiło "trochę poza ramami legalności" — ale nie wyciągnął z tego żadnych konsekwencji. Zresztą niezgodne z konstytucją były aresztowanie i rewizje nocne oraz poddanie cenzurze prewencyjnej kolejnego numeru "Spiegla".

A sam "wielki kapłan" bońskiej demokracji — Adenauer? Co powiedzieć o jego cynicznym oświadczeniu w Bundestagu: "Jest rzeczą mało ważną, czy aresztowano go (tzn. Ahlersa) w Maladze czy w Hamburgu, nie przejmuję się z tego powodu". Nie mniej oburzające jest i to, że kanclerz przed procesem sądowym z góry przesądził winę redaktorów "Spiegla" mówiąc: "Mamy w kraju dno zdrady, jeżeli pismo ukazujące się w nakładzie 500 tys. egzemplarzy systematycznie uprawia zdradę stanu, by zarabiać pieniądze". Z raportu rządowego wynika zresztą niedwuznacznie, że Adenauer wiedział o zamierzonej akcji przeciwko "Spiegelowi" i dał na to swoją aprobatę.

Gdzież więc jest ta sławetna legalność i praworządność, którą tak reklamowano? Jak to możliwe, że najwyższym czynnikiem rządowym tak łatwo ją łamać? Czyż nie jest wymowne, jak lekko Strauss i jego kompani przeszli do porządku nad skrupułami natury prawno-konstytucyjnej, gdy chodziło o wywarcie zemsty na przeciwnikach politycznych?

Trudno nie przyznać racji pewnemu Niemcowi z Getyngi, który w liście do redakcji "Hannoversche Presse" napisał "Nieprawdopodobne metody, jakimi posłużono się wobec "Spiegla", żywo przypominają metody i machinacje niesławnej pamięci III Rzeszy".

Niezależny dziennik duński "Information" nie omieszkał w związku z aferą "Spiegla" przypomnieć, że zaufanie do bezstronności sądownictwa NRF nie jest zbyt wielkie, a w policji zachodnioniemieckiej roi się jeszcze ciągle od b SS-manów i gestapowców...

Janusz Walczewski.



Nowoczesny bar samoobsługowy typu szwedzkiego w Katowicach.

NAGONKA I ATMOSFERA

Jest w Niemieckiej Republice Federalnej wybitny funkcjonariusz wymiaru sprawiedliwości, który zupełnie na serio traktuje swój obowiązek ścigania zbrodniarzy hitlerowskich. Mowa tu o prokuratorze generalnym Hesji — dr Bauerze. Nie zwraca on uwagi na to, jak wysokie stanowisko zajmuje obecnie podejrzany i wszczęła śledztwo, dys tylko uzna, iż materiały, którymi dysponuje, są dostatecznie obciążające.

Nie trzeba dodawać, że taka postawa przysporzyła mu nader wielu wrogów, częstokroć zresztą bardzo wpływowych. Zapewne jednak on sam nie domyślał się, że ma ich aż tylu.

I wówczas — zaczęło się na całego. Bauera zaatakowano z wszystkich stron, nie wyłączając partii socjaldemokratycznej, której jest członkiem. Pod tym naciskiem skorygował on nieco swoje wypowiedzi, co jednak nie zadowoliło organizatorów nagonki. Partia Adenauera — CDU, oświadczyła wręcz w swoim biuletynie prasowym, że Bauer musi ustąpić ze stanowiska prokuratora generalnego Hesji... Rząd NRF zajął w zasadzie taką samą postawę.

A dzieje się to wszystko w czasie, gdy jeden skandal sądowy w NRF goni drugi, gdy sądy uniewinniają hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, albo wymierzają im śmiesznie niskie wyroki, po których wkrótce potworni ludobójcy wychodzą na wolność. Ot, wystarczy przypomnieć, że jeden z najbliższych wsołpracowników Eichmanna — kapitan SS Otto Hunsche, winny współdziałania w masowej eksterminacji Żydów węgierskich, skazany został nie na dożywotnie więzienie, jak tego żądał prokurator (karę śmierci w NRF zniesiono...), lecz na 5 lat więzienia. Wyrok ten zapadł w lecie 1963 r., a już w lutym b. r. Hunschego wypuszczono z więzienia pod pretekstem, że wyrok jest zbyt nieuprawomocnił, a oskarżony może odpowiadać z wolnej stopy... No pewnie! Taki oskarżony...

Takie praktyki budzą oburzenie. Powoli jednak przestaje to nas dziwić. Bo i czego się spodziewać, gdy w zachodniemieckim aparacie wymiaru sprawiedliwości aż czarno od hitlerowców. Gdy nawet generalnemu prokuratorowi NRF — Fraenklowi, wykazano hitlerowską przeszłość polityczną, w związku z czym musiał ustąpić. Gdy przez wiele miesięcy nie można było znaleźć następcy na to stanowisko, ponieważ przeszłość polityczna wszystkich ewentualnych kandydatów też wiele pozostawiała do życzenia? Kto jednak nie stoi w NRF tak bardzo na świeczniku, ten pomimo kompromitującej przeszłości może całkiem dobrze prosperować — nawet i w sądownictwie. Dowodzi tego najlepiej przykład tak zwanych "krwawych sędziów", którzy za rządów Hitlera wydawali barbarzyńskie, nie uzasadnione nawet w świetle ówczesnych drakońskich ustaw, wyroki śmierci na niewinnych lub prawie niewinnych ludzi za drobne wykroczenia, a dziś w "superpraworządym" jakoby państwie Adenauera, nadal zajmują odpowiedzialne stanowiska w aparacie wymiaru sprawiedliwości. Czy rzeczywiście są sprawiedliwi?

Takich ludzi ruszyć z posad niezmiernie trudno. W każdym wypadku wynajdzie się mnóstwo kruczków formalnych, by utrudnić czy bodaj odsunąć decyzję.

Lecz przeciwko prokuratorowi Bauerowi zorganizowano od razu wielką nagonkę. To jeden z charakterystycznych przejawów panującej w NRF atmosfery.

Jeden — lecz bynajmniej nie jedyny. Przykładów można by znów cytować wiele. Szczególnie jednak wymowna jest sprawa głośnego wystąpienia b. admirała Doenitza.

Oczywiście, przedstawiać go nie trzeba. Jeden z głównych zbrodniarzy wojennych sądzonych w Norymberdze, dowódca hitlerowskich okrętów podwodnych, realizator barbarzyńskiej metody zatapiania statków handlowych bez uprzedzenia, awansowany przez Hitlera na dowódcę całej niemieckiej marynarki wojennej, a w ostatnich dniach wojny po samobójstwie "Führera" — jego następcą, co nie miało już wprawdzie praktycznego znaczenia, lecz niewątpliwie było dowodem wielkiego zaufania "wodza" III Rzeszy. Otóż tego to właśnie Doenitza zaproszono do gimnazjum w miejscowości Geesthacht (południowy Holsztyn), aby wygłosił... odczyt o drugiej wojnie światowej. Doenitz skwapliwie skorzystał z zaproszenia i wystąpił z ognistym przemówieniem, w którym rzecz jasna usprawiedliwiał zarówno swoje własne postępowanie, jak i postawę kierownictwa hitlerowskiej Rzeszy. Uczniowie ponoć skwitowali jego wystąpienie burzliwymi oklaskami...

Trochę tu jednak przebrano miarę, sprawa ta bowiem narobiła sporo hałasu nie tylko w NRF, lecz i daleko poza jej granicami. Bo jakże to? Najnowsza historia Niemiec naświetlać ma młodzieży i kształtować jej poglądy jeden z najwyższych dygnitarzy hitlerowskiego państwa bezprawia? A jednak dyrektor gimnazjum wyraził początkowo "zdumienie" z powodu reakcji na odczyt Doenitza i oświadczył, że rodzice uczniów odnieśli się bardzo życzliwie do tej inicjatywy... Ministerstwo oświaty Szlezewiku-Holsztynu nie zgłosiło początkowo żadnych zastrzeżeń, a wiceprzewodniczący Landtagu, czyli krajowego parlamentu Szlezewiku-Holsztynu — Schwinkowski (członek CDU) powiedział usprawiedliwiająco, że to uczniowie zaprosili Doenitza na rozmowę w sprawie politycznego prowadzenia wojny za rządów Hitlera i trudno ich potępiać za tę chęć zdobycia wiedzy, choć może nie zastanowili się nad konsekwencjami politycznymi tego kroku. Innymi słowy — wyraźna próba zbagatelizowania sprawy, która bynajmniej bagatelna nie jest.

Ale też nie jest odosobniona. Bo oto eks-kolega wojenny Doenitza, a obecny inspektor generalny Bundeswehry — gen. Foertsch, zaprotestował przeciwko widowisku telewizyjnemu, w którym poddano krytycznej ocenie postawę dowódcy niemieckiego w okresie bitwy stalingradzkiej i napiętnowano niektóre przynajmniej zbrodnie Hitlera. Foertsch wystosował do wszystkich dowódców jednostek Bundeswehry pismo okólne, w którym określił widowisko jako próbę podważenia morale żołnierzy i wesoła dowódców, by nie pozwolili żołnierzom oglądać tego filmu, gdyby telewizja nadała go powtórnie...

To atmosferę, której symptomem jest w NRF atakowanie, której zdrówą panującą nie może największy nawet optymistą.

JANUSZ WALCZEWSKI

W ŚWIECIE NAUKI. — W ŚWIECIE

Bakterie w roli inżynierów chemików

Przemysł naftowy żywo zainteresował się bakteriami, które swą działalnością życiową przetwarzają ropę naftową na witaminy i białka. Ostatnio specjaliści British Petroleum Group oficjalnie stwierdzili, że odkrycie tych chemicznych talentów pewnego gatunku bakterii w produkcji nie tylko doniosło znaczenie w moście środków żywności zwierząt, a w dalszej przyszłości zapewne i ludzi, lecz także — w rozwoju samego przemysłu naftowego.

Ropa naftowa jest — jak powszechnie wiadomo — źródłem wielu różnych produktów, jak nafty i benzyny, mas plastycznych, włókien syntetycznych itd., nigdy jednak nie brała udziału w produkcji środków żywności. Stało się to obecnie możliwe dzięki pewnym drobnoustrojom, które żywią się stałymi frakcjami (substancje woskowate) ropy i przetwarzają je w koncentraty białek. Przemiana ta jest tak sprawna, że jedna tona skonsumowanych węglodorów ropy daje prawie jedną tonę białka.

Pięć lat temu rozpoczęła badania w tej dziedzinie — bodaj pierwszy na świecie — chemik francuski M. A. Champagnat w rafinerii Lavera pod Marsylią. W wyniku tych badań firma francuska Societe des Petroles BP przystępuje obecnie do uruchomienia małego doświadczalnego zakładu, w którym bakterie prowadzić będą produkcję białka z ropy. Białko to — stosowane jako dodatek do paszy — przejdzie próby wartości odżywczej na zwierzętach doświadczalnych (bydło i trzoda chlewna). Doświadczenia wykazały, czy nie wywołuje ono szkodliwych działań ubocznych. W dalszym etapie badane będą możliwości wykorzystania tak wytworzonego białka i w żywieniu ludzi.

Nie na tym wszakże koniec. Okazało się, że te frakcje ropy, którymi żywią się bakterie, przyczyniają spajającej kłopotu wziętności rafinerii. Specjaliści orzekli więc, że "fabryka prowadzona przez bakterie" może się stać ważną częścią składową rafinerii, pełniącą zadanie odciedzenia, odfiltrowania tych właśnie frakcji. A jednocześnie wytwarzane w procesie ciągłym tony białka byłyby po prostu odbierane jako gotowy produkt.

Nowy niebezpieczny środek dla ciężarnych kobiet

Po aferze z "Thalidomidem", w krajach zachodnich coraz głośniejsza staje się sprawa środka odchudzającego "Preludine", produkowanego przez firmę zachodnio-niemiecką.

Niedawno w Wielkiej Brytanii urodziło się dwoje dzieci z pękniętymi przeponami brzuszными, co wiązano zżywaniem tego środka przez matki w pierwszym okresie ciąży. Producenci "Preludine" zakomunikowali, że wstępne badania ekspertów wykazały, iż międzyżywaniem tego środka, a pęknięciem przepon brzusznych nie ma żadnego związku. Nie mniej firma ostrzegła kobiety, by nie używały "Preludine" w pierwszą okres ciąży. Dopóki nie zostaną ukończone wszystkie badania. Włoskie ministerstwo zdrowia, wydało już zarządzenie zakazujące sprzedaży tego środka, do ostatecznie wyjaśnienia jego działania. Również w Kanadzie, gdzie środek ten jest jeszcze w powszechnej sprzedaży, zażądano usunięcia go z aptek.

K A R I E R A

H e t e r y A t e Ń s k i e j

Stosunek współczesnego człowieka do niektórych starożytnych zabytków bywa czasami wręcz nieobliczalny, pełen przesądów i żywiołowej pasji. Pouczającym przykładem pod tym względem są przedziwne koleje losu ateńskiej hetery i tancerki Tais, która od wieków fascynowała wyobraźnię poetów, muzyków i malarzy. Żywoć jej, niewiarygodnie awanturniczy, służyć może za argument tym, którzy utrzymują, iż życie jest w wielu wypadkach bardziej fantastyczne niż najfantastyczniejsza fabuła powieściowa.

Król macedoński Filip pokonał w roku 338 p. n. e. Greków pod Cheroneą, ustalając w ten sposób swoją hegemonię nad nimi. Miał jednak duży pietyzm dla Aten, ośrodka kultury hellenickiej. Posłał więc tam swego 18-letniego syna Aleksandra, aby nabrał oglady w obcowaniu z filozofami i poetami. W tym czasie przedmiotem podziwu mężczyzn i złośliwych plotek kobiet stała się młodzianka, niezwykłej urody tancerka Tais, która bulwersowała opinię miasta rozwiązłym trybem życia i ognistym temperamentem łaknącym wciąż nowych uciech. Złota młodzień Aten szalała za nią, traciła dla niej głowę i pieniądze ojcowskie. Kroniki milczą uprzedzić, czy Aleksander z nią się zetknął, nie sposób jednak wyobrazić sobie, żeby młodzieniec, znany skądinąd z tego, że przepadał za miłośkami i pijatykami, miał się trzymać z dala od najpiękniejszej i najgłośniejszej naówczas hetery Aten. Nie minęły się przeto chyba z prawdą, jeżeli pozwolimy sobie na przypuszczenie, że między tymi młodymi ludźmi, promieniującymi zdrowiem i pięknem fizycznym, nawiązała się miłość.

Dwa lata później Filip został zamordowany i Aleksander Macedoński rozpoczął karierę największego zdobywcy w dziejach ludzkości. Tais bawiła nadal w Atenach. I w pewnej chwili powzięła zupełnie nieoczekiwaną decyzję, postanowiła bowiem udać się do Egiptu wraz z oddziałem tysiąca hoplitów-najemników. Daremnie dociekać, co mogło ją skłonić do tego kroku. Może zawiedziona miłość do Aleksandra, może żądza przygód, ale nie należy wykluczyć również możliwości, że w Atenach po prostu palił jej się grunt pod nogami.

W Egipcie przebywała w tym czasie, kiedy Aleksander Macedoński zdobywał Persję. Pewnego dnia, po zdobyciu Egiptu, spotkał ją w Memfisie jeden z najdzielniejszych wodzów macedońskich Ptolomeusz i z miejsca zadurzył się w niej na zabój. Odtąd Tais towarzyszyła mu we wszystkich wyprawach wojennych, była z nim w Babilonie i w końcu zjawiała się w Persepolis, stolicy podbitego imperium perskiego.

W pałacu królewskim, zbudowanym w precudnej dolinie wśród wzgórz skalistych, Aleksander Macedoński urządził właśnie jedną ze swych głośnych libacji. Setki komnat i sal kolumnowych, pełnych złotych i srebrnych ozdób, drogocennych dywanów i zaston, oświetlały pochodnie. Wśród tego ośniewającego przepychu zasiedli do pucharów i jadła rubaszni wodzowie Aleksandra. I oto, co opowiadają o przebiegu tej libacji kronikarze greccy Diodor, Klitarch i Plutarch. Podobno Tais ("podobno", bo Klitarch, źródło tej anegdoty, znany jest jako plotkarz) podczas rozwydrzonego tańca rzuciła pochodnię między drewniane kolumny pałacu. Pijana zgraja wojowników macedońskich z entuzjazmem poszła w jej ślady, ciskając płonące pochodnie na prawo i lewo. Główna część pałacu, z drogocennymi tkaninami, ozdobami i wazami ze szlachetnych metali, zajęła się płomieniem. Służba tylko z wielkim trudem zdołała uratować boczne skrzydła pałacu.

Po śmierci Aleksandra Ptolomeusz otrzymał w spadku Egipt i koronował się na króla. W ten sposób rozpoczęła się owa słynna dynastia grecko-egipska, która zakończyła się wraz ze śmiercią samobójczą Kleopatry. Tais stała się matką rodu królewskiego, ponieważ Ptolomeusz zaślubił ją i miał z nią troje dzieci.

We Francji cieszyła się ona dużą popularnością, weszła niejako do folkloru paryskiego dzięki opowieści Anatola France'a i operze Masseneta osnutej na jej fabule. Ale fabuła była mocno romantyczna i niewiele miała wspólnego z prawdą historyczną. Sprowadza się ona do tego, że pewien mnich porwał Tais i ocalił jej duszę, ale w trakcie wykonywania tego zamiaru zgubił swoją własną.

W świetle tych faktów staje się zrozumiałe, dlaczego w roku 1900 przyjęto z wielkim poruszeniem wiadomość, że jeden z francuskich egiptologów odkrył mumie bohaterki i przywiózł do Paryża. Od tej chwili rozpoczęła się ostatni, najosobliwszy rozdział w losach ateńskiej hetery. Dozorcy oraz kustosz muzeum Guimet zauważyli z rosnącym zdumieniem, że około mumii rozpełzał się żarliwy kult paryżanek. Tais stała się patronką zakochanych lub zawiedzionych w miłości midinetek, a nawet cór Koryntu. Na skrzyżnię, gdzie spoczywała mumia, gromadziły się codziennie stosy kwiatów, wstążek, listów błagalnych i fotografii ukochanych. W końcu kierownictwo muzeum doszło do przekonania, że trzeba z tym skończyć, gdyż tłumy przybywających kobiet różnego pokroju zakłócały po prostu normalny tryb pracy muzealnej.

Mumie wycofano do magazynu, a przy tej okazji konserwatorzy i lekarze zainteresowali się nią bliżej. I wówczas wyszła na jaw niezmiernie intrygująca sprawa. Okazało się, że Tais nie była zabalsamowana i po prostu ciało jej uległo dzięki konserwacyjnym okolicznościom naturalnej mumifikacji. Ponieważ żony faraonów były zawsze balsamowane po śmierci, wynikałoby z tego, że Tais nie była oficjalną małżonką Ptolomeusza, lecz jego konkubina. Istnieje jeszcze możliwość taka, że była zaślubioną żoną, ale przed śmiercią wpadła w nietasę i została oddalona od tronu. Nie wiadomo, którą z tych dwóch teorii przyjąć, to pewnie jednak, że pod koniec życia Tais przeżyła jakąś wielką tragedię życiową.

Wycofanie patronki wywołało niebywale oburzenie. Przed muzeum zbierały się tłumy paryżanek domagających się złożenia mumii na starym miejscu dostępnym dla publiczności. I wówczas dyrektor muzeum, licząc się z tym, że stanie się ofiarą linczu, ogłosił dygocącym ze strachu głosem, że mumia już nie istnieje, gdyż została podczas sekcji pokrajana na kawałki. Rozwścieczone kobiety chciały istotnie rzucić się na winowajcę krzycząc w rozpacz: "Zamordowali naszą mumie!", powstrzymał je tylko w ostatniej chwili kordon policji. Tak oto, po upływie z górą 2300 lat, rozstała się wreszcie z tym światem Tais o fiołkowych oczach, zapalając na pożegnanie swój ostatni fajewerk w postaci rozruchów paryskich.

(Streszczenie redakcyjne z "Przeglądu Kulturalnego")

ZENON KOSIDOWSKI



Fragment fresku "Boże Narodzenie" w Faras w Sudanie; jest to jeden z 47 fresków odkrytych przez polskich archeologów pod kierunkiem prof. Michałowskiego. Freski pochodzą z VI, VIII, IX, X i początków XI w.

BAKTERIOFAGI – WIRUSY POŻERAJĄCE BAKTERIE

Łacińskie słowo "virus" oznacza truciznę lub jad. W czasach dawnych używano tej nazwy na oznaczenie przyczyny różnych chorób — zakaźnych i niezakaźnych. Pasteur używał tego słowa jako synonimu zarazka lub drobnoustroju i wymieniał jako wirusy m. in. zarazki natury bakteryjnej. W "erze" bakteriologicznej nazwą "wirus" oznaczano zarazki jeszcze nie odkryte. Wykrycie zarazków przesączalnych spowodowało przesunięcie terminu "wirus" na oznaczenie tych właśnie przesączalnych czynników zakaźnych.

W 1915 r. Anglik Swort zauważył, że jeśli do młodej hodowli gronkowców dodać bezbakteryjnego przesączu z tych drobnoustrojów, to bardzo często obserwuje się rozpuszczenie (czyli lizę) tychże bakterii wyhodowanych na takiej pożywce.

Dokładniej opisał to zjawisko francuski bakteriolog d'Herelle z Instytutu Pasteura. Prowadząc badania nad bakteriami krwawej dysenterii, czyli czerwonki bakteryjnej, stwierdził, że przesącze — nawet w bardzo wysokich rozcieńczeniach — wykonane z kału chorych i ozdrowieńców miały zdolność rozpuszczania pałeczek czerwonki. Okazało się, że zawarty w przesączu czynnik lityczny można było przenosić z hodowli na hodowlę bez utraty jego właściwości i siły działania. Czynnikiemu temu d'Herelle nadał nazwę bakteriofaga ("pożerającego bakterie").

Bakteriofagi są szeroko rozpowszechnione w przyrodzie. Obecność ich stwierdzić można w hodowlach bakteryjnych, w wydzielinach i wydalinach ludzi zdrowych i chorych zakaźnie, a zwłaszcza u ozdrowieńców. Spotyka się je także w wodach powierzchniowych, ściekach i w ziemi. Są one tak małe (10 - 80 milimikronów), że łatwo przechodzą przez filtry porcelanowe, które zatrzymują bakterie. Bakteriofagi pasożytują na bakteriach, powodując ich rozpuszczenie.

To rozpuszczanie bakterii można wykazać w taki np. sposób: na powierzchni pożywki agarowej (płytki Petriego) zasianej wrażliwą hodowlą bakterii, umieszcza się kilka kropel przesączu zawierającego bakteriofaga. Już po upływie jednej doby w miejscach, na które padły krople przesączu, pożywka staje się charakterystycznie przejrzysta, co świadczy o zaniku bakterii. W miejscach nie zakażonych fagiem — pożywka jest silnie zmętniona, dowód obfitego wzrostu hodowli. Te "powygrzane" miejsca przejrzyste na pożywkach agarowych nazwał d'Herelle "faches vierses" — plamki dziecwie, zaś dr Szymanowski spolszczył je na "lysinki".

Mikroskop elektronowy, dający powiększenia 100.000-krotne, ujawnił, że bakteriofagi mają budowę cząsteczkową (molekularną). Określono dokładnie kształt niektórych bakteriofagów. Jedne są kuliste z charakterystycznym ogonkiem, inne podobne do plemników z główką zaokrągloną lub kanciastą. Poszczególne szczepy fagów wykazały tak duże pod względem morfologicznym odmienności, że można je na tej drodze różnicować.

Według koncepcji d'Herelle'a, potwierdzonej obserwacjami pod mikroskopem elektronowym, cząsteczka bakteriofagownika do komórki bakteryjnej, tu się

rozmnaża i powoduje jej rozpad. Ten wzrost bakteriofagów odbywa się skokami, co 20 - 30 minut, a po każdym skoku liczba bakteriofagów powiększa się kilkadziesiątkrotnie.

Bakteriofagi znalazły zastosowanie w diagnostyce, służą do różnicowania, oznaczania bakterii. Sprawa ta ma duże znaczenie epidemiologiczne w sensie wykrywania źródeł zakażenia i dróg szerzenia się np. duru brzuszego. Bakteriofagi pozwalają na różnicowanie np. pałeczek otoczkowych (pałeczki zapalenia płuc typu C i pałeczki twardzieli). W obu tych przykładach metody serologiczne są za mało czułe dla wykazania różnic pomiędzy wymienionymi drobnoustrojami.

Wczesne zastosowanie bakteriofaga w celach leczniczych czy zapobiegawczych daje dobre wyniki. Ten sposób leczenia jest dość rozpowszechniony w medycynie weterynaryjnej. W medycynie ludzkiej obserwowano pomyślne wyniki w zapobieganiu i leczeniu czerwonki bakteryjnej, a w ostatnich latach w leczeniu duru brzuszego. Zachęcające wyniki odnotowano w zwalczaniu cholery i dżumy oraz — miejscowych spraw zakaźnych wywołanych przez bakterie (np. niezłyty dróg moczowych). Pewnego rodzaju rewelację stanowi niedawne wyleczenie z zapalenia płuc przy pomocy fa-

gów, znanej gwiazdy filmowej, Elisabeth Taylor.

Przeszkodą w szerszym stosowaniu bakteriofagów jest trudność uzyskania czystej zawiesiny bakteriofaga, wolnej od składników pożywki.

W Polsce badania nad bakteriofagami prowadzi Pracownia Fagów w Laboratorium Bakteriologicznym Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej w Warszawie. Pracownia może się poszczycić udanymi próbami w leczniczym zastosowaniu bakteriofagów przeciw gronkowcom w ranach pooperacyjnych. Piękne wyniki osiągnięto również w hodowli mykofagów, czyli bakteriofagów przeciwko prątkom gruźlicy. Placówka warszawska dysponuje obecnie szczepami fagów przeciw gronkowcom złocistym, pałeczkom okrężnicy, pałeczkom odmieńca, enterokokom, czerwoncem, durowi brzuszemu i paradurowi oraz mykofagami przeciw gruźlicy. Badania nad uzyskaniem faga przeciw pałeczkom ropy błękitnej zapowiadają pomyślne wyniki.

Bakteriofagi stają się nowym sprzymierzeńcem lekarzy w walce o zdrowie i życie ludzi.

(Streszczenie redakcyjne z "Życia Warszawy").

ANTONI MAŃKOWSKI

Przewiercanie skorupy ziemskiej

Amerycanie podjęli przed rokiem kosztowną i trudną pod względem technicznym próbę przewiercenia skorupy ziemskiej na całej grubości i sięgnięcia po próbki znajdującego się pod nią t. zw. płaszczu Ziemi. Celem jest zbadanie budowy geologicznej i składu głębokich warstw naszej planety.

Wiercenia rozpoczęto pod wodami oceanicznymi i pierwsze wyniki podano już do wiadomości.

Na głębokości 3.600 m pod Oceanem Spokojnym, na zachód od wybrzeży Meksyku, odwiercono w dniu pięć 180-metrowych otworów doświadczalnych. Wiertła przeszły przez warstwę osadów i dotarły do następnej war-

stwy, złożonej z szaro-czarnego bazaltu, skały wulkanicznej.

Obecnie rozpoczęto drugą fazę wierceń. Otwór badawczy głębokości kilkuset metrów zlokalizowano w pobliżu wytypowanych już miejsc właściwych otworów badawczych, na północny wschód od Puerto Rico. Wydobyte stąd rdzenie (próbki) wiertnicze, o średnicy 5 cm, poddane zostaną analizie, aby dostarczyć inżynierom danych do zaprojektowania odpowiedniej rury wiertniczej i wiertła.

Dopiero potem rozpoczną się wiercenia właściwe na głębokości ok. 5 km pod wodą. Świdry przebić mają — jak przewidują uczeni — ok. 5,5 km głębokie warstwy osadów i skal. Najgłębsza z tych warstw, znajdująca się na pograniczu tzw. nieciągłości Mohorovicica, dzielącej skorupę od płaszczu Ziemi, składa się według przypuszczeń z serpentynitu, skały zbudowanej z magnezu i krzemianów.

Księżyc widziany z odległości 500 km

W Obserwatorium Astronomicznym położonym na Górze Hamilton w Kalifornii wykonano przy pomocy olbrzymiego teleskopu zwierciadłowego o średnicy 300 cm fotografie powierzchni Księżyca. Każde zdjęcie obejmuje wycinek powierzchni o wymiarach 370 x 450 km w skali 20 km na 1 cm.

Zdjęcia te odpowiednio powiększone obrazują taką powierzchnię srebrnego globu, jaką widzieć będą astronauty z odległości ok. 500 km.



W Warszawie odbyła się w kwietniu br. wystawa rzeźb artysty brazylijskiego Bruno Giorgi. Na zdjęciu artysta z żoną na wystawie.

Mieszkańcy nowi i mieszkańcy dawni

Mija lat 10, jak do odbudowanych kamienic warszawskiego Starego Miasta zaczęli wprowadzać się nowi mieszkańcy. Zamieszkało ich na Starym Mieście kilka tysięcy. Dobrze im się tu mieszka — uliczki wązkie, wiekowe, domy z zewnątrz wyglądają jakby żywcem przeniesione z jakiejś XVIII wiecznej ryciny — a wewnątrz wszystko nowoczesne, wygodne. Z kaloryferów płynie miłe ciepło, gazowa kuchnia zapala się wesołym niebieskawym płomieniem, lśni bielą lub zieloną wykładana kafelkami łazienka.

Ten splot przeszłości z dniem dzisiejszym posiada nieopisany urok dla nowych mieszkańców Starówki. Niejeden z nich zastanawia się nad tym, jak też tu żyli ich poprzednicy — sprzed trzech czy czterech wieków.

Częściowo ocalałe akty ławnicze i testamenty mieszczzańskie, oraz księga radnych starej Warszawy z XVI w. dostarczają wiele ciekawych danych, wiele opisów urzędzenia wewnątrz kamienic staromiejskich w tym okresie. Pozwalają poznać życie dawnych mieszkańców Starego Miasta.

Wyobraźnia przenosi nas w te czasy, gdy pośrodku warszawskiego Rynku stał wspaniały ratusz z wyniosłą wieżycą, na której dumnie sterczała "wymaglinowana z blachy i kolorami ozdobiona" — syrena. Po bokach ratusza bogate kramice Szkotów, Ormian, Niemców i innych wszelkich nacji, a od lśniących, srebrem

i złotem przetykanych wschodnich materii, od broni perskiej, tureckiej, włoskiej i hiszpańskiej, od sukien i płócien flamandzkich aż się w oczach ćmiło. Z komnat ratuszowych coraz to wychodzili szlachetni rajcy, dostojni ławnicy, poważni mistrze cechowi...

Dniem barwne, gwarne i tłumne — nocą Stare Miasto pogrążało się w nieprzeniknionej ciemności. Słaby płomień smolnych kagańców, zawieszonych na bramach murów obronnych, które wskazywały drogę do miasta przez kilka godzin wieczornych — gaszono wcześniej.

Jedynym oświetleniem stanowiły ogniska dworzani przyjezdnych magnatów, zakładane — wobec szczupłości gospód — po prostu na rynku. Jeszcze do końca XVIII w. karety, jadące nocą przez miasto, otaczała służba z płonącymi pochodniami. Pochodnie te gaszono w okrągłych otworach, specjalnie wyłobionych w kamieniu przy wejściach do kamienic i pałaców (Do dziś dnia zachowały się np. na pałacu Prymasowskim przy ul. Senatorskiej).

Przyrynkowe kamienice — jak pisze współczesny kronikarz — "byszczą się od złota prawie", a stare dokumenty przekazują nam wiadomości o bogactwach wypełniających staromiejskie kamienice. Umeblowanie domów zamożnych mieszczan składało się podówczas z łóżek z pierzynami, często powleczonej skórą, ze stołów, ław, pótek na naczynia,

zydli oraz ogromnej ilości artystycznie wykonanych skrzyń. Wiele z nich przywożono z Gdańska. Zrobione były ze szlachetnego drzewa, rzeźbione lub inkrustowane masą perłową. Kilka takich skrzyń odnaleziono swego czasu przy odgruzowywaniu Starego Miasta w głębi gotyckich piwnic. W skrzyniach tych mieszczanie przechowywali przedmioty najcenniejsze — futra, klejnoty, pieniądze, dokumenty handlowe. Mimo pozornej prostoty sprzętów — mieszczzańskie izby wywoływały wrażenie przepychu dzięki wielkiej ilości kobierców i kosztownych tkanin, które zawieszano na ścianach, zarzucano na stoły, ławy. Jak wiele było tych kobierców świadczy fakt, że np. kupiec Erkenberger miał ich w 1596 r. w swym mieszkaniu — 100 sztuk. Okna przesłonięte były zastonami — najczęściej zielonego koloru.

Naczynia z cyny, miedzi, mosiądzu i gliny zdobiły półki, porozwieszane na ścianach, w sieniach, izbach, kuchniach. Na uroczyste okazje dobywano ze skrzyń zastawę srebrną, nierzadko pozłacaną. Obrazy posiadali tylko najzamożniejsi. I tak np. w izbie stołowej Stanisława Baryczki wisiało aż 10 obrazów. Słynny kupiec Marcin Fukier miał 44 obrazy. Bo też bogacił się szybko... Z wielkim trudem doszukiwalibyśmy się natomiast w tych mieszkaniach innej książki niż modlitewnik lub kodeks prawny, pomocny kupiectwu przy prowadzeniu interesów. Do wyjątków należy "biblioteka" kupca Piotra Kłosa, złożona aż z... 20 książek.

Intercyzjy ślubne, testamenty lub działy majątkowe patrycjatu warszawskiego z XVI i połowy XVII w. imponują bogactwem inwentarzy. I tak np. Jadwiaga Gizina, z domu Fukierówna zostawiła w spadku czepeców złotych cztery, dwa czepece srebrne, pierścień z szafirem, drugi z diamentem, trzeci z rubinem, siedem mniejszych pierścionków, perły, zawieszania z kamieniami, obręcze srebrne, puzdra ze srebrem stołowym i wiele innych kosztownych przedmiotów.

Kasia Drewnówna, córka radcy miejskiego, dostała w posagu m. in. "kanafackową szubkę kunia, a drugą grubinową z kuniemi gardły oraz metlik aksamitny z gronostajami". W "Gościńcu albo opisanu Warszawy", pochodzącym z 1643 r., znajdujemy taki opis stroju warszawskiej mieszczki:

"Łańcuchy, drogie noszenia, pierścień godzien uproszenia, Binda z szmelcem, z rubinami
A kapelus z faworami,
Z drogich pereł opasanie..."

Możne rody mieszczzańskie Warszawy: Baryczkowie, Bussorowie, Strubiczowie, Drewnowie, Dziańnotowie nie żalują pieniędzy i na wystawne przyjęcie Oto, jak taką ucztę opisuje współczesny poeta: "drudzy noszą marcypany, cukry, wódki między pany, małmazyje tam stawiają, alakantu nalewają, z rywałami wino różne, pelen stół, miejsce nie próżne".

Kamienice staromiejskiego patrycjatu — zniszczone doszczętnie podczas powstania warszawskiego — zostały odbudowane według pierwowzoru z okresu ich świetności i budzą słuszny podziw i zachwyt wszystkich odwiedzających Warszawę.

KRYSTYNA BOERGEROWA

Pszczoly i dźwięk

Pszczoly postrzegają dźwięki i posługują się nimi podobnie jak "tańcem" — w porozumiewaniu się między sobą. Tak twierdzi dr A. W. Wenner z uniwersytetu Kalifornii w artykule opublikowanym w czasopiśmie naukowym "Science".

Wenner opisuje rozmowę, jaką przeprowadził ze schwytaną w pułapkę królową pszczół i umieszczoną w doświadczalnym ulu. W rozmowie tej uczony posługiwał się generatorem dźwięku o częstotliwościach 600 i 2000 cykli na sekundę, wysyłającymi następujące impulsy: (imitujące dźwięki wydawane przez królową pszczół) — jeden sekundy ton, a po nim pięć lub więcej krótkich impulsów, z których każdy trwał poniżej pół sekundy.

Królowa, którą Wenner otrzymał pocztą z odległej miejscowości i wsadził do ula doświadczalnego wraz z tekturowym pudłem pocztowym, odpowiadała na sygnały kwaczącym wołaniem, serią krótkich dźwięków.

Aby sprawdzić, czy dźwięki wydawane przez królową pszczół stanowiły odpowiedź na sztuczne "wołanie" generatora, Wenner wziął do pomocy asystenta. Jego zadaniem było słuchać głosu pszczół przez dziesięć sekund na minutę w przeciągu godziny. 30 razy w ciągu godziny przed wyznaczonymi okresami 10-sekundowego "nasłuchu" asystenta, profesor wysyłał piskliwe tony. Królowa odpowiedziała — zawsze takim samym kwakaniem — 24 razy na tę liczbę wysyłanych "pytań". Nie odzywała się natomiast w ogóle w okresach wolnych od nadawanych przez generator sygnałów.

W udanych doświadczeniach generator umieszczony był w zetknięciu z jedną z podpór-ula i przekazywał swe drgania bezpośrednio tworzyw, z którego ul był zbudowany. Królowa nie reagowała natomiast na dźwięki wysyłane przez powietrze.

Trzeba dodać, że dźwięki wysyłane do królowej uwiecznionej w doświadczalnym ulu były dokładną repliką zapisu dźwięków, wydawanych przez dziewiczą królową pszczół w piątym dniu jej życia, tuż po jej wynurzeniu się z komórki. Odpowiedzi pszczół z ula doświadczalnego brzmiały identycznie z dźwiękami królowejzymanej przymusowo przez robotnice w swojej komórce.



Prof. dr Waclaw Sierpiński — światowej sławy matematyk. Wiceprezes Międzynarodowej Akademii Filozofii Nauk, członek Polskiej Akademii Nauk.

REFLEKTOREM PO ŚWIECIE

Mały skromny paryski pokój. Pochylona nad stołem kobieta porządkuje nad stołem papiery, segreguje listy odkładając na bok broszury i książki.

Mrok wieczoru przysłania sprzęty, za oknem szumi potok — ulicy.

Kobieta wspiera głowę na dłoniach i przemyka oczy. Jest bardzo zmęczona. Odgłosy dnia kołają się jej po głowie:

“Opóźniła się pani z zapłatą za mieszkanie...”

“Kiedy pani nareszcie zapłaci moje honorarium?”

“Apteka moja nie jest instytucją dobroczynną. Miesiącami brała pani lekarstwa na kredyt...”

W pokoiku nie ma już tego, o którego życie walczyła w ciągu ostatnich dni. Nie ma już tego, który na tle szarych ścian wygnającego pokoju wywoływał: wizję piechoty broniącej radymińskich okopów, ułańskie szwadrony szarżujące watahy Budiennego, sylwetki ludzi, którzy budowali niepodległe państwo.

Nie ma tego, który w czterech ścianach paryskiego pokoju, urzeczony wizją, zapominając o sobie, o swoich nadwątłych siłach, o otoczeniu, tworzył dzieło, za które zapłacił życiem.

Czy choćby już po śmierci nie powinniśmy okazać wdzięczność ś. p. Wł. Pó-bóg-Malinowskiemu, autorowi “Najnowszej Historii Polski”?

Na barki wdowy po pisarzu spadł dług w wysokości 7.000 franków.

“Tak wyglądała sytuacja w ubiegłych miesiącach. Obecnie uległa ona zmianie: zbiórka “Kultury” przekroczyła zakreślona cyfrę. Z przyjemnością należy zanotować wysokie ofiary jakie na ten cel przekazał Ks. Roman Sanguszko i p. Szpicman — Jordan z Brazylii”.

* * *

Nie ma chyba bardziej ponurego widowiska, chciało by się rzec szubienicznego kryminału, niż spektakl jaki daje “Zachód” w związku z traktowaniem t. zw. “dobrych Niemców”.

W chwili obecnej prawą ręką Adenauera, szarą eminencją rządu w Bonn jest np. Herr Hans Joseph Maria Globke. Herr Globke nigdy nie był członkiem partii nazistowskiej. Gdzie tam! Herr Globke jest wujającym katolikiem. Jemu to Arcybiskup Berlina polecił zostać na stanowisku wyższego urzędnika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych po objęciu władzy przez Adolfa Hitlera. Hitler wyrzucił mu uznanie za wnikliwe opracowanie prawa dotyczącego traktowania Żydów. Prawo to, rzecz jasna, było owiane duchem prawdziwie... chrześcijańskim.

Herr Globke cieszy się uznaniem dyplomatów zachodnich. Bywa u nich na przyjęciach i popija whisky. Zaprasza ich do siebie, gdzie częstuje monachijskim piwem i reńskim winem. Lord Hume ściska mu łapę. Mister D. Rusk i monsieur de Merville — ditto.

W ostatnim czasie His Excellency's z korpusu dyplomatycznego są jednak nieco zakłopotani.

Oto dziennikarz angielski, Charles Wighton, wyszperał fotografie Herr Globke. Zrobiona była w roku 1942 w Bratysławie, na konferencji, której przewodniczył Herr Hans Joseph Maria Globke.

“Widzimy na tej fotografii, szanowna publiko, — jak by powiedział bohater Wiecha pan Piecyk — mocno spasioną podobiznę pewnego Szkopa, ubranego w mundur nazistowski. Medale ledwo mu się mieszczą na piersi. Gęba uśmiech-

nięta od ucha do ucha. Widać, że jest zadowolony z rezultatu konferencji.

Cóż było tematem obrad w Bratysławie, którym przewodniczył Herr Globke? Ostateczna eksterminacja Żydów czechosłowackich w komorach gazowych.

Nie mam pod ręką prozków na wywołanie młodości tedy wymienię już tylko dwa nazwiska zbrodniarzy wojennych pomagających obecnie Adenauerowi: inspektor generalny armii Republiki Federalnej gen. Friedrich Foertsch; szef II oddziału armii gen. Reinhard Gehlen.

Zagraniczna służba dyplomatyczna Adenauera jest zatłoczona (crammed) przez byłych najbliższych współpracowników Ribentropa. Szkoda miejsca na nazwiska. To samo dotyczy koncernów przemysłowych oraz banków. Jeden z takich koncernów przyniósł w r. ub. trzydzieści pięć milionów funtów szterlingów czystego zysku. Prowadzą go zbrodniarze wojenni: Friedrich Flick i Alfred Krupp.

“Welcome! Welcome! Seja bem vindo! Witaj miły hospodynie!”

I am - sick. Excuse me. Idę do łazienki.

* * *

Oświećmy reflektorem nieco pogodniejszego wydarzonka.

Przeżywszy 90 lat rozstał się z tym światem ósmy książę Buckinghamshire, które to uroczę hrabstwo, jak sama nazwa wskazuje, znajduje się w Anglii.

Książę nie interesował się wcale rodziną. Kiedy mu “butler” anonsował wizytę jakiejś dziesiątej wody po kisielu polecał stale powtarzać: “Tell him he can go to hell and stay were!” co w wolnym przekładzie na język Kadłubka brzmi: “Powiedz mu, żeby poszedł do diabła i pozostał z nim.

Po dłuższych dociekaniach okazało się, że prawowitym spadkobiercą księcia wraz z tytułem jest ogrodnik zarabiający 10 funtów tygodniowo w Southend. Adwokaci odnaleźli go na ulicy owego miasta odgarniającego łopatą śnieg sprzed budynku rzeźni.

Podczas rozmowy w sąsiednim barze młody ogrodnik oświadczył ku zdumieniu adwokatów, że nie zamierza porzucić swego zajęcia, które kocha jak rodzoną “girl-friend” i nie chce słyszeć o należnym mu miejscu w Izbie Lordów. Dopiero po trzeciej kolejce piwa rozjaśniło mu się w głowie.

Adwokaci wyjaśnili mu, że jego rodzina otrzymała tytuł lordowski dzięki interwencji kochanki króla Jerzego II, która pracowała w piekarni zamkowej i prosto z pieca przeniesiona została do sypialni królewskiej (działo się to w roku 1746) i że jeżeli się zgodzi zasiąść w Izbie Lordów będzie pobierał trzy funty i trzy szylingi wolne od podatków za przespanie się kilka godzin dziennie w Izbie Lordów, gdzie zainstalowano ostatnio centralne ogrzewanie.

— Trzy funty i trzy szylingi dziennie za spanie? — zdumiał się młody ogrodnik.

— Tak jest! — adwokaci wzniesli szklanki piwa do góry.

— Cheers! — wykrzyknął ogrodnik. — Jadę do Londynu.

W pośpiechu zapomniał zabrać ze sobą łopatę.

* * *

Mr. A. Alexander rozpoczął w mieście Clinton w stanie Missouri w Stanach Zjednoczonych trzynasty rok urzędowania jako sędzia pokoju. Alexander ob-

chodził właśnie hucznie... sto trzecie urodziny.

Mr. Alexander przypomniał mi o pewnym ślubie, na którym znalazłem się przypadkowo. Niesamowite okoliczności, które poprzedziły ten ślub, skłoniły mnie swego czasu do napisania długiego opowiadania.

“Pan młody” i dwaj druzbowie liczyli razem 224 lata. Panna młoda dodawała do tej cyfry skromne 21 latek.

Wbrew zwyczajowi opowiadanie nie miało “happy end'u”. Mam na myśli “pana młodego”. W noc poślubną zwa-riował.

— A mówiliśmy mu — sepełnił jeden z druzbów, radca Ziemskiego Towarzystwa Kredytowego, — że chcieć nie znaczy jeszcze móc. Co zrobić z uparciuchem!

Przemysłna mama panny młodej wy mogła przed ślubem zapisanie na rzecz córuchny połowy pięknego majątku odblubięca.

Obie panie udowodniły, że jednak można dojść do poważnych pieniędzy nie tracąc cnoty.

* * *

Prasa amerykańska przestała nareszcie denerwować swoich czytelników Fidelem Castro, Nikitą Chruszczowem et consortes. Uwaga jej skierowała się na Pittsburg. Mieszkanka tego miasta, panna Ida Capers, poleciła w testamencie uśpić dwa swoje pieski. Piękne setry irlandzkie: “Brickland” i “Sunny Burch”, miały się przenieść do wieczności razem z panią. Ale nie przeniosły się. Burzę, która się rozpętała wokół tej sprawy, porównać można jedynie z nieudałą inwazją Kuby.

Do senatu stanowego w Pensylwanii przedłożono wniosek:

“Odbieranie życia jakiegokolwiek żyjącej istocie czy był by to pies, czy złota rybka — stanowi bezprawie”.

Pewien fabrykant konserw ofiarował dożywotną żywność dla obu piesków. Adwokaci zgłaszali się na ochotnika, żeby bronić psy przed sądem. Na biurku gubernatora stanu Pensylwania, Williama Scrantona, rosła góra telegramów i listów protestujących przeciw egzekucji psów. Telefon gubernatora urywał się. Nowojorska tancerka striptease'u Margaret Fast, przesała do sądu w Pittsburgu petycję, w której napisała między innymi:

“Gdyby miało to zmiękczyć serca Wysokiego Sądu i darować życie tym dwóm stworzeniom gotowa jestem rozebrać się do ostatniego bikini przed Wysokim Sądem i wykonać taniec: “Bez siedmiu welonów”, który zachwyił nawet króla Ibn-Sauda...”

Po naradzie z gubernatorem sędzia William Rahouser odroczył wykonanie wyroku na “Brikland'zie” i “Sunny Bunchu” na 15 miesięcy.

Mam znajomego w Pittsburgu. Otrzymałem od niego list w ubiegłym tygodniu, w którym przeklina sędzię Rahousera w żywy kamień.

“Zarezerwowałem sobie w sądzie doskonałe miejsce na tę rozprawę — pisze — a tu muszę czekać 15 miesięcy. Ten taniec: “Bez siedmiu welonów” nie daje mi spać”.

Kiedy cztery lata temu miałem zamiar wyjechać na stałe do Stanów Zjednoczonych zwróciłem się do dr Edwina Tempkiego w Kurytybie z prośbą o uśpienie mego psa Burka. Dr Tempki zwymyślał mnie grzecznie i odmówił! Jakże mi jestem wdzięczny! Burek leży teraz u moich stóp i pomaga mi pisać: “Reflektorem po świecie”.

RENRYK PRZYBOROWSKI

Jeszcze jedno pożegnanie, jeszcze jeden rzut oka poza siebie i oto maszerujemy po betonie lotniska w stronę wielkiego odrzutowca linii Alitalia. Doskonały, niezauważalny start i: até logo, Ameryko!

Podróżowanie nowoczesnymi odrzutowcami jest czymś fantastycznym, czymś niesłychanie charakterystycznym dla epoki, którą przeżywamy. Szybkość zadziwiająca: nie warto prawie odpinać pasa, gdyż samolot zaczyna gwałtownie planować, motory cichną — podchodzimy do lądowania w Rio. Postój nie całą godzinę i skok przez Atlantyk. Wydaje się, że dopiero co można się było zdrzemnąć, a już przygotowujemy się do lądowania w Dakarze. Jesteśmy na innym kontynencie — przypomina o tym obsługa lotniska, poczekalni... Sami czarni, między nimi wiele kobiet, niezupełnie pewnie czujących się w nowych rolach. Cóż, młoda niezależność, która dopiero z czasem okrzepnie. Z Dakaru o szóstej rano (według nowego czasu) skok na jeszcze jeden kontynent. Wszystko to odbywa się tak prędko, że nie odczuwa się nawet niewygody, nieuniknionej w klasie turystycznej zatłoczonego po brzegi samolotu. Widno już, ale niewiele można dostrzec — lecimy nad chmurami. Trzeba wierzyć na słowo, gdy kapitan oznajmia wyspę Maiorkę, gdzie tworzył i walczył ze śmiertelną chorobą Chopin. Marsylia i oto nie wiadomo kiedy Mediolan i koniec podróży.

Pierwsze silne wrażenie dla przybyszów z Brazylii to zimno. Widzi się starszych ludzi opatulonych w ciężkie palta i szaliki. Tylko 10 godzin od opuszczenia Viracopos, a jaka zmiana! 15 stopni zamiast co najmniej 25. Ale tegoroczna zima była sroga w całej Europie i wiosna nadchodzi jak by z obawą. Ani śladu zieleni na drzewach, a przecież to właśnie niedziela Wielkanocna. Widzimy tylko polećka soczystej zieleni ozimin, gdy autobus wiezie nas przez równą jak stół równinę lombardzką do miasta.

Z tym autobusem nie wszystko poszło gładko. Pozostali pasażerowie czekali na nas blisko pół godziny. Wszystko przez policję. Wielkie plakaty na lotnisku głoszą wprawdzie, że w kraju demokratycznym policja jest na usługi obywateli, ale jak wszędzie na świecie ma ona skłonność do uważania się za nieomylną. Nie podoba jej się, że nie mamy wiz. Większość krajów powiązała się umowami zwalniającymi swych obywateli od potrzeby wizowania paszportów. Wiele krajów, ale nie Włochy... Turystyka jest jednym z filarów gospodarki włoskiej. W roku 1962 odwiedziło Włochy 21 milionów turystów. Liczba wprost niewiarogodna. Gdyby przybyli wszyscy naraz ludność Włoch wzrosłaby blisko o połowę. Nic dziwnego, iż rząd włoski nie chce się zrzec opłat od 21 milionów wiz i policja pilnuje tego źródła dochodów państwowych. Nie pomagają wyjaśnienia podejmowane w różnych językach (poza najważniejszym włoskim), że zarówno linia Alitalia jak i konsulat włoski w São Paulo twierdziły zdecydowanie, że podróżny posiadający bilet lotniczy ważny na dalszą podróż, jak to jest w naszym wypadku, może pozostać we Włoszech bez wizy przez 48 godzin.

Woła się brigadeiro. Nadchodzi brigadeiro w cywilnym ubraniu, wywieziony jak od fryzjera, z kroju garnituru i manier przypominający więcej gwiazdora filmowego, niż wyższego policjanta i zaczyna się urzędowanie. Jakieś narady, telefony... W końcu przynoszą nam oficjalne pozwolenie na pozostanie w kraju w ciągu owych 48 sakramentalnych godzin.

Ale wszystko to zabrało sporo czasu i nie ma mowy, aby zdążyć na samolot do Nicei, odlatujący z innego lotniska. Trzeba będzie lecieć jutro. Ale jak? Niedziela Wielkanocna i Targi Międzynarodowe — szkoda marzyć o hotelu. Spać na ławkach w parku za

W dziesięć godzin na trzech kontynentach

(Korespondencja własna "Przeglądu Polskiego")

zimno. Ale obawy nasze okazały się przedwczesne. W biurze Alitalia w gmachu nowoczesnego dworca kolejowego urzędnicy klną w żywe kamienie policję i jej znajomość przepisów wizowych, ale zabierają się energicznie do roboty. Parę telefonów i już jedziemy do hotelu, blisko dworca. Wszystko naturalnie na rachunek linii. Teraz pod adresem policji włoskiej kierujemy podziękowania. Zona moja nigdy przed tym nie była w Mediolanie, teraz będzie miała okazję zwiedzić go dzięki tej całej historii.

Pierwsze kroki kierujemy do Il Duomo, katedry gotyckiej, która przez wieki uchodziła za największą świątynię świata, dopóki nie zakasowała jej Bazylika św. Piotra w Rzymie. Na placu przed katedrą i w samej świątyni setki osób. Ale to nie pobożni. W katedrze odprawia się przy jednym z bocznych ołtarzy nabożeństwo popołudniowe, ale ginie w ogromie świątyni — zagłusza je szmer tysięcy kroków i szeptań. Turysty i lokalni niedzielni gapie. Przed katedrą stoi grupa młodych Murzynów. "We are African boys" — mówią o sobie. Widać dawni pupile Brytyjczyków. Wydaje się nam dziwne, że wzbudzają sensację.

Styszemy jak ojciec mówi do małego synka:

— Jak będziesz grzeszny to ci pokażę czarnego człowieka.

Część placu przed katedrą ogrodzona. Tablice głoszą, że prowadzi się tu prace wykopaliskowe zabytków z IV w. po Chr. Długoletni pobyt w krajach zamorskich zmienił nas. Zdumiewamy się widząc, że oglądanie Murzyna może być sensacją, ale sensacją są dla nas liczne europejskie zabytki historyczne.

Jeszcze rzut oka na inne rzeczy godne widzenia. Castello, średniowieczny zamek rodziny Sforza, chyba tej, która wplątała się do historii polskiej poprzez Bonę, żonę Zygmunta Starego, a matkę Zygmunta Augusta. Opera della Scala. Tutaj rozczarowanie. Pierwszorzędne gwiazdy operowe całego świata występują w gmachu godnym trzeciorzędnego miasta. Jeszcze jakaś brama tryumfalna i śpieszymy na Targi Międzynarodowe, żeby zdążyć przed zamknięciem.

Tyle jest teraz różnych wystaw na świecie, że wydawać by się mogło, że szersza publiczność przestanie na nie uczęszczać. Sądząc jednak po tłumach na Targach w Mediolanie, przyciągają one nadal szerszą publiczność. W rozplanowaniu, dekoracji pawilonów i stoisk widać wysoki poziom artystyczny. Mówicie co chcecie — Włosi są i pozostaną narodem artystów, przewyższającym pod tym względem każdy inny naród.

Pytamy, czy Polska ma pawilon. Kierują nas do pawilonu maszyn i łatwo już tam odnaleźć wielkie stoisko Metalexportu, instytucji zajmującej się przede wszystkim eksportem obrabiarek. Obrabiarki, zwłaszcza do obróbki metali, ale również drewna i innych materiałów, mają to do siebie, że są nieodzowne przy industrializacji, stanowią podstawę wszelkich inwestycji. Toteż w Stanach Zjednoczonych, gdzie koniunkturę gospodarczą bada się dziś równie dokładnie jak sejsmografy notują najłżejsze wstrząsy skorupy ziemskiej — wskaźnik zamówień na obrabiarki uważany jest za jeden z najczulszych wskaźników koniunktury. Świat przemysławia się w szybkim tempie i dlatego zapotrzebowanie na obrabiarki rośnie od szeregu lat. Tym należy tłumaczyć, że wszystkie kraje socjalistyczne, nawet Rumunia i Bułgaria, mają w Mediolanie stoiska z obrabiarkami, brak tylko ZSRR. Ale stoisko

Metalexportu, grupujące 21 maszyn, przy czym niektóre ważą ponad 20 ton, góruje nad swymi konkurentami socjalistycznymi, nawet nad Czechosłowacją, choć miała ona nieporównanie wcześniejszy start w budowie i eksporcie maszyn. Jeżeli przypomnieć, że w tymże czasie Metalexport miał stoisko na wystawie astronautycznej w Parque Ibirapuera w São Paulo, gdzie wystawiał 14 obrabiarek, to trzeba przyznać, że instytucja ta ma rozmach i zasięg, które stanowią mogą dumę inżynierów i techników polskich. Wystawy tego rodzaju wymagają całego sztabu inżynierów, monterów, personelu handlowego — wszystko zdaje się grać bez nawalania terminów i innych niedociągnięć tak typowych dla gospodarki upaństwowionej.

Poza targami Mediolan miał jeszcze jedną sensację sezonową — kampanię przedwyborczą do parlamentu. ściśle mówiąc dla tubylców nie wydało się to sensacją. Patrzyli dość obojętnie, jeżeli w ogóle patrzyli, na wielkie transparenty poszczególnych partii. Ale dla przybysza z krajów, gdzie partia komunistyczna jest zakazana, stanowi coś niezwykle widzenia na każdym kroku: "Volta comunista!" Zamiast odpowiadać komunistom ich własnymi metodami gwałtu i przemocy, dopuszczenie partii komunistycznej do życia politycznego, jest sposobem zwalczania komunistów przekonywaniem i perswazją. Powinno to być bardziej skuteczne, a na pewno bardziej humanitarne. Działalność przedwyborcza we Włoszech, a co najmniej w Mediolanie, odznacza się większą estetyką, niż w Brazylii. Nie widzi się afiszów z portretami różnych przyjemniaczków politycznych, ani napisów na murach, zaśmiecających miasta brazylijskie na długie miesiące. W Mediolanie spostrzega się jedynie transparenty przecignięte wpoprzek ulicy na wysokości pierwszego piętra, i ukazujące rzeczywisty przekrój włoskiego życia politycznego. Najwięcej wisi transparentów komunistycznych. Nawet w doborze kolorów i szczegółach ornamentacyjnych widać typowy dla Włochów zmysł artystyczny. Na ciemnym granacie — głęboka czerwień napisów i emblematów. Odcienie barw brutalne! Tak samo zresztą ostro zarysowane emblematy: młot, sierp i czerwona gwiazda pięcioramienna.

A zaraz za transparentem komunistycznym — transparent włoskiej partii socjalistycznej. Barwy stonowane, widnieje jeszcze młot i sierp, ale bez gwiazdy; rysunek mniej wyrazisty, a za młotem i sierpem ukazują się delikatnie zakreślone promienie wschodzącego słońca. Ma to być, naturalnie, symbol lepszej przyszłości.

Jeszcze nie koniec z socjalizmem. Następny transparent — to partia socjaldemokratyczna. Znika sierp i młot, a wschodzące słońce stanowi jedyny emblemat. Ma to zapewne znaczyć, że głoszący na te partie mają już zapewnioną doczesną szczęśliwość. W każdym razie subtelna propaganda.

Te trzy partie nie umawiały się, oczywiście, co do rysunku swoich transparentów, tym nie mniej te przejścia w emblematach lewej charakterystyką odcienie włoskiego socjalizmu, niż wielostronicowa broszura.

Widzi się jeszcze transparenty chrześcijańskiej demokracji oznaczone krzyżem i partii liberalnej, której emblematem jest trójkolorowa flaga włoska. Gdyby sędzić po ilości transparentów — wybory powinny przynieść ogromną większość partiom socjalistycznym. Ale Mediolan jest miastem przemysłowym, gdzie wpływy czerwonych są największe. Na prowincji znajduje się na pewno więcej zwolenników krzyża i flagi narodowej, niż czer-

TATERNICKIE OSTROGI

2.

Jakże inny, piękny i radosny jest świat w słońcu! Pamięć wczorajskich trudów i niebezpieczeństw rozplynęła się w powodzi ciepłych promieni, czułem jak nowe siły wstępują w zmarznięty organizm.

Ze świeżym zapasem energii zabraliśmy się do likwidowania biwaku. Wczesne słońce, rzucając skośne światło na północną ścianę, pobudzało do życia, dodawało ducha, chociaż nie przynosiło konkretnych efektów w postaci wysuszonych śpiworów i ubrania. O wysuszeniu, czy chociażby odmarznięciu butów nie było co marzyć toteż rozpoczęliśmy powoli doprowadzać je do stanu używalności nad maszynką spirytusową. Namoczone poprzedniego dnia i zamrożone w nocy miały twardość stali. Uderzane metalową łyżką wydawały odgłos dzwonka. Ogrzewane i ugniatające dłońmi pozwoliły się wreszcie urobić. Po półgodzinnych zabiegach, kompletnie mokre, można było założyć na nogi. Wilgotne śpiwory powędrowały do plecaków zwiększając już i tak wydatny ich ciężar i o szóstej rano miejsce biwaku pozostało puste. Z góry widać było jedynie niewielki wydeptany plac.

— Aho! — dobiegł nas okrzyk w chwili po opuszczeniu śnieżnego domu.

Niewyraźnych dalszych słów nie dało się już zrozumieć. Na wadze widać było sylwetkę któregoś z naszych słowackich przyjaciół. Niespokojny był o nas, ciekaw, czy jesteśmy jeszcze w ścianie po ciężkim wczorajszym dniu i pytał zapewne jak się nam wiedzie.

— W porządku! — ryknęliśmy gromko. — Idziemy dalej.

Nietrudnym żłebem posuwaliśmy się szybko do góry, do charakterystycznego śnieżnego siodelka gubiącego się wysoko w pionowej prawie ścianie szczytowej. Spieszyć się musieliśmy bardzo; przed nami znajdował się najtrudniejszy fragment drogi, który mógł splatać psikusa. Nie wiadomo było zupełnie ile czasu trzeba poświęcić na pokonanie tego fragmentu.

wonej gwiazdy, młota i sierpa lub chociaż by wschodzącego słońca.

Szybko minął ten jeden dzień pobytu w Mediolanie. Autobus wiezie nas na lotnisko. Tym razem policja nie ma zastrzeżeń, ładujemy się do odrzutowca i ruszamy w drogę do Nicei. Te kilkaset kilometrów na skutek górzystego terenu przebywa się samochodem w osiem godzin. Nowoczesnemu samolotowi wystarczy jedna godzina.

Planujemy wkrótce do lądowania. Pojawia się błękitne morze i zarysy Riwieri. Poczynając od Monte Carlo, aż do Nicei ciągnie się właściwie jedno nieprzerwane pasmo will i ogrodów. Oślepiające słońce, jakiś zdrowy, lekki powiew, niebieskie jak jarbka morze — po wylądowaniu znajdujemy Riwierę w najlepszej formie.

Lotnisko w Nicei znajduje się nad morzem. Wydaje się, że nasz samolot nie powstrzyma rozpędu i zaznamy nieproszonej kąpieli jak to miało miejsce kilka miesięcy temu na lotnisku Santos Dumont w Rio de Janeiro. Ale dzisiejsza technika lotnicza zapewnia prawie całkowite bezpieczeństwo. Olbrzymi samolot lekko zauraca i zatrzymuje się. Wstrząs jest znacznie mniejszy, niż przy zahamowaniu autobusu na przystanku.

A. GAWAR.

Słońce towarzyszyło nam jeszcze lecz wiadomo było, że pogoda nie potrwa zbyt długo. Wczesna jasność nieba i świetna widoczność nigdy nie są trwałe. Za wiele czasu spędziliśmy w górach, aby o tym nie wiedzieć, a z naszym przemoczonym sprzętem nie wolno było ryzykować drugiego biwaku. W złych warunkach mógł się skończyć tragicznie.

Gdy w trzy godziny później stanąłem na siodelku zmartwiałem spojrzawszy przed siebie. Ściana robiła wrażenie niedostępnej. Po lewej stronie nad głowami majaczył wierzchołek, najbliższa i zdawało się jedyna do wyboru droga. Była to droga do grani powyżej ostrych iglic. Ale do grani mieliśmy około 80 metrów gładkiego urwiska.

Oglądałem się poza siebie. Widoczne było jakieś dwieście metrów żłebu; urywał się on potem niewidocznym progiem, lodospadem, poza którym nie widać już było nic. Hen, daleko poniżej, chmury pokrywały coraz bardziej gęstą warstwą Czeską Dolinę i wdzierały się szybko coraz to wyżej.

— Nie patrz się tam — upomniał mnie Wittek. — Wiesz, że nie mamy odwrotu.

Była to prawda. Czterdziestometrowego lodospadu nie mogliśmy pokonać idąc w dół. Potrzebne były do tego lodowe haki i 70-metrowa lina zjazdowa. Nie dysponował tym nasz prymitywnie wyposażony zespół.

Z determinacją w sercu rozpoczęliśmy już przy porywach mroźnego wiatru — ostatni atak.

Z drogi tej — po latach — utkwiała mi w pamięci tylko jedna rzecz. Nie trudności drogi, nie to co w trudnej wspinaczce stanowi zwykle najsilniejsze wrażenie. Ja pamiętam najlepiej stanowiska asekuracyjne, choć były tylko dwa. Wittek prowadził przerażając się powoli przez lód, z którego dokładnie oczyszczał skałę, a ja godzinami siedziałem asekurując go. Było to pół siedzenia, pół wieszanie. W ogromnie niewygodnej pozycji, przywiązany do haka centymetr po centymetrze wypuszczałem linę partnerowi zmarzniętymi na kość rękami.

Huraganowa mroźna wichura przewalała się przez Tatry. Swiszcząca zamieć niosła ze sobą tumany śniegu i zerwanego ze skały lodu. Poprzez ciemności zadymki usiłowałem dostrzec Witka, gdyż porozumieć się z nim nie byłem w stanie. Wicher tłumił najgłośniejsze okrzyki. Co chwilę chowałem twarz pod ramię, nie mogąc wytrzymać uderzeń wiatru i bólu jaki sprawiał. Przez dziury w spodniach dostawał się do wnętrza śnieg. Kolana drętwiały. Przy opuszczaniu stanowiska poruszałem się pierwszych kilka metrów zanim organizm trochę się nie zagrzał jak inwalida. Zmarzniętą stopą nie czułem stopni, zgrabiałymi palcami poruszałem jak protezę.

Nie pamiętam jak i kiedy po pięciogodzinnym forsowaniu ściany szczytowej znalazłem się na grani, ani jak w godzinę potem ścisaliśmy się na szczycie gratulując sobie zwycięstwa.

Nie, to nie było jeszcze zwycięstwo. Szczęśliwe zejście to było dopiero zwycięstwo.

We mgłę błakaliśmy się około godziny poszukując wygodnego żłebu sprowadzającego spod wierzchołka do Doliny Siarkańskiej. Jak dwaj niewidomi wchodziliśmy po omacku na platformy śnieżne, aby przekonać się w chwilę później, że

domniemany żleb jest małym półkiem śnieżnym pokrywającym cienką warstwę skały. Już, już wstępował w nas duch zwątpienia, gdy okazało się, że zaśnieżona depresja, na której staliśmy właśnie, nie urywa się tak jak inne po kilkunastu metrach lecz ciągnie dalej. Nie mogło to być nic innego, niż żleb. Stromizna powoli malała. Siedliśmy w końcu na stoku i zaczęliśmy zjeżdżać po śniegu na spodniach. Skalne progi powinny być być zasypane. Zresztą głupstwo, groził co najwyżej upadek w śnieg.

Niżej i niżej, wreszcie Siarkańska Dolina, potem przełęcz i Dolina Złomisk.

Rosło poczucie bezpieczeństwa, poczucie, że niedługo nastąpi odpoczynek. Napięte dotąd nerwy uległy rozluźnieniu, ogarniało nas ogromne znużenie. Samokontrola własnych ruchów była coraz mniej doskonała. Zataczaliśmy się po śniegu jak pijani. O utrzymaniu kierunku marszu w linii prostej nie było mowy. Do tej pory właśnie nerwy wydobywały z nas resztę sił.

Znajdowaliśmy się już niedaleko schroniska, gdy napotkaliśmy nową, niebywałe męczącą przeszkodę. Na polach kosówki śnieg nie był zbyt twardy. Cienka skorupa lodowa na wierzchu ledwo była w stanie utrzymać ciężar człowieka, pod wpływem dodatkowego obciążenia plecakiem załamywała się niespodziewanie.

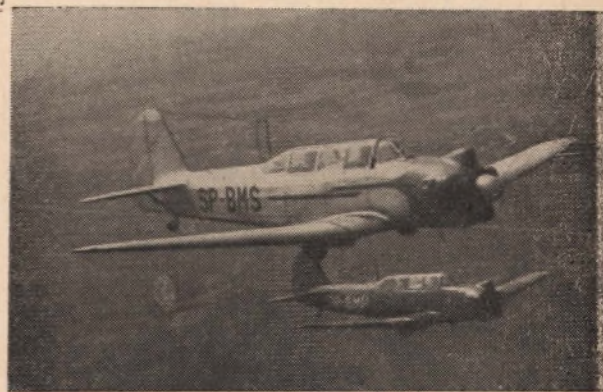
Przebiegnie byłem w stanie zrobić trzy kroki po twardej powierzchni. Za czwartym krokiem powierzchnia załamywała się i noga wpadała w coraz miększy śnieg po pachwicę. Często kolec przypiętego do buta raka zacierał głęboko o kosówkę nie pozwalając się wyswobodzić. Byliśmy bezradni. Nie wiedzieliśmy czy pelznąć po śniegu na brzuchu, czy męczyć się każdorazowym wyrwaniem nogi i podnoszeniem się z ciężkim plecakiem.

W pobliżu jeziora natrafiliśmy na szczęście na wypukłe ślady narciarskie. Zbity śnieg pod nartami nie był tak szybko zdmuchiwany jak świeży i pozostał jak gdyby w postaci wąskotorowej kolejki. Po tym śladzie, nieco twardszym od świeżej powłoki, brnęliśmy powoli od Południowego Jeziora.

Co za rozkosz! Ubrani w pożyczoną suchą bieliznę, rozłożeni na wygodnych fotelach piliśmy herbatę za herbatą. Goście w schronisku byli mili. Okazali wielką życzliwość i pomoc i... nie dręczyli pytaniami. Nie wiem kiedy dostałem się do łóżka. Wiem, że było ciepło, przytulnie i sucho i że spałem kamieniem snem blisko 20 godzin.

(Dokończenie nastąpi)

JERZY PIOTROWSKI



Pierwsze w tym roku loty szkoleniowe w Polsce. Aerokluby rzeszowskie rozpoczęły sezon.

W Północnej Paranie 42 lata temu

5.

Dom pana Rodriguesa był zbudowany w stylu guarani, składał się z budynku frontowego i dwóch półokrągłych przybudówek. Na obszernej werandzie wspartej na kolumnach siedziała w kolebaczu żona pana Rodriguesa. Była to sympatyczna Argentynka w wieku lat trzydziestu. Pan Rodrigues przedstawił mnie jako przedstawiciela rządu brazylijskiego.

Siedział tam też stary wyga i lis kuty na cztery nogi, mistrz gawędziarstwa, który w młodości był oficerem w okresie wojny paragwajskiej a na starość został mistrzem ceremonii u administratora i należało do niego bawienie gości.

Usiedliśmy w wygodnych fotelach werandowych. Zaraz też zjawili się sympatyczny chłopczek z kują i czajnikiem. Szymaron rzeczywistości był doskonały. Zdaje się, że to rzecz bardzo prosta, a jednak nie każdy potrafi go dobrze przyrządzić.

Po szymaronie poproszono nas na kolację, która była bardzo suta, składała się z ryby i dwóch mięs, sałaty i innych potraw. Pan Rodrigues mnie przeprosił, prowadził buchalterię, więc musiał iść do biura. Poleciał żonie i mistrzowi ceremonii, żeby się mną zajęli.

Pani Rodrigues też chciała wiedzieć, czy to prawda, że Argentyńcy i Paragwajczycy są źle widziani w Brazylii. Powiedziałem, że to wierutne kłamstwo. Paragwajczycy nauczyli Brazylijczyków wytwarzać herwę systemem kęzdymnym, czego przedtem nie znali, a więc już choćby z tego powodu muszą być poszukiwani i cenieni. Nigdy nie widziałem, ani nie słyszałem, żeby ktoś odnosił się wrogo do Argentyńczyków albo Paragwajczyków. Jeżeli znajdzie się jeszcze jakiś Brazylijczyk, który nie lubi Paragwajczyków to jest zapewne jakiś weteran z wojny paragwajskiej, któremu przetrzepano porządnie skórę w Paragwaju i nie może tego Paragwajczykom zapomnieć. A i to ta nienawiść jest połowiczna: nienawidzi mężczyzn, a uwielbia kobiety paragwajskie.

Wiedziałem, że polechałem tym mile staro wyge, mistrza ceremonii, toteż jako stary żołnierz nie omieszkiał wsiąść na ulubionego konika i pojechać na nim w krainę przeszłości, w czasy, gdy był młody i dokonywał czynów heroicznych.

Pani Rodrigues, znając zapewne te opowieści i wiedząc, że mistrz nie prędko zsiądzie ze swego konika, polecił mi, żeby zaprowadził mnie do przygotowanego pokoju, gdy zechcę się położyć, sama zaś życząc nam "buenas noches" poszła spać.

Mistrz był praktyczny. Zdawał sobie sprawę, że jego historyjki, choć interesujące i barwnie opowiadane (miał niepospolity dar wymowy) są jednak tak długie, że słuchających można w końcu zasnąć, powiódł mnie więc od razu do sypialni.

Łóżko było zasłane czystą pościelą, a na stoliku obok niego stał przeszło litrowy dzban tłustego mleka i szklanka.

— Nic lepiej nie gasi pragnienia, niż mleko — powiedział mistrz. — A ze mną niech pan nie robi sobie ceremonii. Proszę się rozbiierać i kłaść, a ja siądę i będę opowiadał. Kiedy zobaczę, że pan jest senny, powiem: dobranoc i wyniosę się.

Położyłem się, on siadłszy obok łóżka zmienił się w bajeczną Szecherezadę z Tysiąca i Jednej Nocy. Co za heroiczne czyny tam się działy, jakie barwne motyle fantazji wylaływały z głowy tego człowieka — tego już dziś nie potrafię powtórzyć. Popijając mleko, które mi co pewien czas podawał, oczarowany opowiadaniem, ani się spostrzegłem

jak czas uleciał i zrobiła się trzecia godzina nad ranem. Na wpół senny usłyszałem u przejmę "buenas noches".

Port Piquiri położony jest na prawym brzegu rzeki. 42 lata temu były tu magazyny, dobrze zaopatrzone sklepy, wytwórnia wozów, stolarnia, kuźnia i szereg domków mieszkalnych. Rzeka Piquiri ma tu 86 metrów szerokości i 15 głębokości. Prom wytrzymał ciężar 150 worków herwy. Zejście i wyjście z promu było strome z powodu wysokich brzegów.

Z informacji pana Rodriguesa, który tu mieszkał już dwa lata, dowiedziałem się, że pobrzeże rzeki jest zdrowe. W lecie bywa gorąco, jednak nie tak jak np. w Posadas. W czasie epidemii grypy w roku 1918 umarł w Piquiri tylko jeden człowiek. Pan Rodrigues skarżył się na moskity i inne bjsze. Co do bydła to chowa się dobrze i to, które widziałem, było zdrowe i tłuste. W okolicy przebywa dużo wampirów. Prześladowają przeważnie konie i muły.

Zabawiłem w Piquiri dwa dni. Chodziłem pikadami leśnymi, widziałem tratwę, składającą się z trzech czółen, przeznaczoną do eksploatacji rzecznych. Zwidziałem też wytwórnię wozów, które podobne były do wozów amerykańskich o wysokich kołach i szerokich obręczach.

Stwierdziłem, że prócz palm, które ścinać na pasze dla mułów nie widziałem się pustoszenia lasu jak to praktykowało się u nas.

26 sierpnia pojechałem p. Benamina Rodriguesa. Zapraszał mnie, żebym został dłużej, to poszlibyśmy na ryby. Musiałem jednak odmówić, śpieszno mi bowiem było zdać relację z podróży.

Pan Rodrigues kazał osiodłać konie. Paragwajczyk, który przyprawił mojego muła, podał mi strzemie do wsiadywania. Zobaczyłem teraz co to znaczy u nich: "prestar atencion devidamente".

Przeprawiliśmy się promem przez rzekę i jechaliśmy pierwsze 10 km drogą, która była jeszcze w budowie, a potem ścieżkami leśnymi.

Kiedy wydostaliśmy się znowu na dobrą drogę ujrzałem czarowny las. Rosły tam drzewa liściaste o wspaniałych koronach i wysokie palmy *gisary*, a w dole było tak czysto, że nie tylko konno, ale wozem można jeździć.

— Wiesz, — powiedziałem — świat chyba tak wyglądał kiedy go Bóg kończył tworzyć.

Mrvczka przyznał mi rację i nie mógł się nadziwić piękności tego zakątka. Dziwne uczucie: człowiek się czuł w tym lesie jak w najwspanialszej świątyni.

Jechaliśmy dalej przez pola uprawne. Na jednych plony już były zebrane, inne przygotowane do uprawy lub oczekujące zbioru. Widziało się wszędzie obfitość kukurydzy, manioki i arbuźów.

Nazajutrz, 27 sierpnia, po przenocowaniu u jednego z rolników, spotkałem się z p. Julio Alica i jego administratorem generalnym, Juanem Alcorta z Santa Cruz, którzy zaalarmowani ucieczką 43 Paragwajczyków, jechali, żeby zapobiec dalszym ucieczkom. P. Alica żalował, że nie może wrócić ze mną, więc wreczył mi przynajmniej list polecający, w którym napisał: "Este Senhor es representante del Gobierno Brasilenho. Prestar atencion devidamente".

Po przybyciu do Santa Cruz oddałem list majordomowi i zostałem bardzo dobrze przyjęty i ugoszczony w jego domu.

Nazajutrz w towarzystwie majordoma zwiedziłem Santa Cruz. Były tu liczne zakłady pracy: młyn, tartak, warsztaty budowy i naprawy wozów, stolarnia, kuźnia, rzeźnia, wielkie magazyny herwowe, sklep i biura Towarzystwa Alica. Linia telefoniczna łączyła miasto z odległym o 108 km. Porto Alica, a

własna elektrownia Kompanii dostarczała światła i energii.

Ponieważ mieliśmy wkrótce opuścić imperium Towarzystwa Alica posłałem Mrvczkę do sklepu, żeby nakupił wiktuałów potrzebnych w podróży. Napakowano mu sakwy dając podwójną ilość jakiejś żądał, a prócz tego rzeczy, o które wcale nie prosił, jak mydło toaletowe, dżem, herbatę Liptona, tuzin paczek papierosów (ja wówczas jeszcze nie paliłem) i całą masę zapalek i mnóstwo innych rzeczy, których już dziś nie pamiętam i wciąż go wypytywano co lubię, a w żaden sposób nie chciało przyjąć pieniędzy. Mrvczka wrócił obiadowany jak muł, aż się zdziwiłem kiedy go zobaczyłem. Dziwił się też i Mrvczka takiej hojności i godności.

28 sierpnia podziękowałem majordomowi za gościnę. Zarówno on, jak i jego rodzina, żegnali nas serdecznie powtarzając:

"Tivemo mucho prazer de conocer Representante del Gobierno Brasilenho".

Wyjeżdżając z Santa Cruz wstąpiłem do sklepu, żeby wyrazić podziękowanie za prezenty. Przywitani mię jak kupiec najlepszego klienta i gdyby nie dzieliła nas lada to by mnie klepali po plecach. Pytali, czy jeszcze czegoś nie potrzebuję, może zapomniałem. A gdy wspominałem o uregulowaniu rachunku odparli:

"O, no, Senhor. Isto é una bagatela".

I rzeczywiście, dla Towarzystwa Alica była to bagatela.

Wieczorem przybyliśmy do Rancho Azul, ostatniej osady Kompanii i poprzenocowaliśmy w domu administracji 29 sierpnia udaliśmy się w dalszą drogę już przez tereny Towarzystwa Nunes Gibacha.

Zapadała noc, gdy dotarłem do centrali tego towarzystwa mieszczącej się w miasteczku São Pedro. Administrator, Juan Rocca, przyjął nas z otwartymi ramionami i tylko przeproszał, że nie będzie mnie mógł naleźćcie ugościć, ponieważ żona wyjechała w odwiedziny do Argentyny i jest sam. Nie był jednak sam. Przy stole siedział bowiem mistrz ceremonii, Argentyńczyk, stary dziad, jak się zdaje z wyższych sfer, ale który ani się umywał do owego Paragwajczyka mistrza ceremonii z Porto Piquiri. Interesował się tylko dzikimi zwierzętami, których miał całą kolekcję w klatkach i o nich tylko umiał mówić, a poza tym nie widział świata Bożego. Po kolacji i pogawędce o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości zajechaliśmy aż do Piramid i epoki faraonów. P. Rocca odznaczał się inteligencją i potrafił prowadzić rozmowę na różne tematy. Nie trwał tylko udziału w rozmowie mistrz ceremonii, który już drzemał, więc i my idąc za jego przykładem poszliśmy spać.

Nazajutrz p. Rocca pokazał mi São Pedro. Zapamiętałem sobie wielkie magazyny, w których odbywa się fermentacja herwy; do jednego z nich sypano właśnie herwę, ubijano ją i następnie hermetycznie zamykano. Fermentacja trwa rok i dopiero wtedy herwa idzie do młynów i sprzedazy. Przyrządzona w ten sposób jest niezwykle aromatyczna co miałem możność sprawdzić pijąc z niej szymaron.

Ścieżki prowadzące z São Pedro do Foz do Iguacu są tak pogmatwane, że lawo na nich pობłądzić. Pan Rocca zaofiarował się więc odprowadzić nas osobiście aż do drogi prowadzącej do Foz do Iguacu.

Jechaliśmy 20 km prawdziwą płataniną pikad i gdyby nie p. Rocca nie dalibyśmy sobie rady. Koło południa dotarliśmy wreszcie do drogi. Serdecznie podziękowałem p. Rocce za tyle okazanej życzliwości. Uścisnęliśmy sobie dłonie, on zawrócił, a my jechaliśmy dalej gościncem w stronę Guaruapuava, kończąc w ten sposób eksplorację terenów, stanowiących przedmiot zainteresowań Henri Gomma.

K o n i e c

KAZIMIERZ KARMAN

Jeszcze o Wyspie Tristan da Cunha

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne artykuł A. Gawara: "Ucieczka od cywilizacji", w którym opisany został wybuch wulkanu na wyspie Tristan da Cunha i ewakuacja mieszkańców wyspy do Anglii. Dziś za piśmie "Ostatnie Wiadomości", ukazującym się w NRF, podajemy dalsze losy wyspiarzy.

Wyspę tworzy wysoka skalista góra, której szczyt sięga 6760 stóp ponad poziom morza, opadając stromo, niemal prostopadle ku Atlantykowi. W północnej części, tuż nad brzegiem morza, znajduje się mała równina, na której jest położone osiedle zwane Edinburgh, na cześć księcia Edinburgh'u, który około sto lat temu w swej podróży dookoła świata tam zawinął, a ostatnio książę Filip podtrzymał tę tradycję. W potocznym codziennym życiu nikt nie nazywa tego Edinburghem, lecz wprost "osiedle" i tak nawet jest oznaczone na niektórych mapach. Osiedle składa się z 60 parterowych domków, ma kościół, szkołę, lekarza i urzędnika administracji brytyjskiej. Niedaleko osiedla znajduje się jedyny na całej wyspie kawał gruntu uprawnego, zwanego "Polem Kartoflanym", podzielony na małe działki o powierzchni 30 m kw. każda, ogrodzone kamiennym wałem. Ziemiaki to podstawowy produkt ich żywienia jak również miara zamożności.

W 1948 roku Towarzystwo Przemysłowe z Afryki Południowej założyło tam fabrykę pudełkowania homarów, w które obijuje tamta część Atlantyku. Zjawił się dotychczas nieznaną pieniądze, powstał sklepik z zapalkami, gwoździ, mąką, żywnością europejską i zjawił się nieznaną dotychczas na wyspie... ból zębów. Uprzednią walutą były papierosy lub ziemniaki. I tak np. wychodzący na powielacz miłoścy dziennik "The Tristan Times" kosztował trzy papierosy lub cztery ziemniaki. Z inwentarza żywego na wyspie są krowy, woły, owce, osły i kozy, a niedostępna wyspa Nightingale dostarcza jaj, po które w pewnym okresie lata idzie cała wyprawa. Skromne to wyżywienie uzupełniają oczywiście ryby. Cała ludność nosi białe pończochy, utkane na miejscu z owczej wełny.

* * *

Na widok Cape Town ogarnęło ich zdumienie. Wiedzieli oni ze szkoły, z tygodników, z radia i książek jak wygląda ten inny nieznaną dla nich świat. Zнали wynalazki doby obecnej, ale nie zdawali sobie sprawy, że ten świat, który leży poza horyzontem morskim, jest tak odmienny. Zawsze w ich pojęciu istniała granica pomiędzy "my" i "oni", przy czym "my" to mieszkańcy Tristan da Cunha, a "oni" — to reszta świata, zła i niedobra.

W Cape Town czekało ich pierwsze rozczarowanie spowodowane sporą domieszką krwi afrykańskiej płynącej w ich żyłach i z którego to powodu Afryka Południowa nie chciała ich uznać za swoich obywateli, radząc im by się uważali raczej za Brytyjczyków. I wtedy już zapadło między nimi ciche postanowienie powrotu na swoją wyspę, jak tylko ku temu zaistnieją odpowiednie warunki.

Po przybyciu do Anglii spotkało ich inne rozczarowanie — to bariera językowa, gdyż używany przez nich język jest oparty na języku dokerów z czasów królowej Wiktorii, ale głównymi przeszkodami to był klimat i... nadmiar cywilizacji. Spotkali się w Anglii z jak najdalej idącą gościnnością i pomocą. Starano się zaklimatyzować ich, wciągnąć do swego społeczeństwa, zatrudnić w fabrykach i warsztatach, wcielić w naród angielski. I tu była największa trudność. Wyspiarze uważają siebie za odmienną rasę i w swym poglądzie na przyszłość świata, sądzą, że zginie on od bomby wodorowej (o której

ślyszeli), a oni są przeznaczeni przez Opatrzność, by dać początek nowej ludzkości. Nie ma między nimi żadnych różnic, nie ma biednych ani bogatych i tworzą jedną wielką nierozdzielną rodzinę, która nie może przyzwyczaić się do organizacji społecznej świata cywilizowanego.

Na wyspie w ciągu 150 lat nie zdarzyła się ani jedna zbrodnia, nie zaszedł wypadek ani jednej kradzieży.

* * *

Nie mogąc zaklimatyzować się, postanowili wrócić na tę najbardziej odludną wyspę świata, gdzie czują się najzupełniej szczęśliwi. Wyjechała więc pierwsza partia w składzie 9 ludzi, która ma zbadać przydatność wyspy i szkody, jakie spowodował wybuch wulkanu. Lawa doszła niemal do samych progów ich domów, gdzie jakby na rozkaz zatrzymała się w swym niszczycielskim pochodzie i zastygła, obejmując osiedle dwoma martwymi ramionami. Domy są niezniszczone, pole ziemniaczane nietknięte i zdolne do uprawy; zginął lub zdziczał jedynie inwentarz żywy, a także fabryka przetworów rybnych, została zasypała skałami i nie pozostało z niej śladu. Spłonął tylko jeden jedyny dom, prawdopodobnie od żaru lawy.

W pustym osiedlu jest wszystko tak jak je opuścili w pośpiechu mieszkańcy: na jednym z domów wisi zaproszenie na zabawę, w którym obiecują dużo jedzenia i picia" z tym że tym razem należy zwrócić większą uwagę na Kena, który ostatnio wypił dużo, proszą jednocześnie by "przynieść swoje talerze i łyżki".

W pustym kościele wiatr porzucił kartki hymnów, a jedna ze ścian lekko wykrywiła się. W niektórych domach jest nakryty stół jakby czekał na powrót z pracy swych domowników, a wydaje się, że stary gramofon z trąbą i założoną starą płytą ma zagrać za chwilę. W mieszkaniu lekarza stoją na tacy cztery kieliszki, niedopalki w popielnicze i

niedopita butelka portu. Jak nowoczesna Pompeja.

* * *

Dlaczego nie chcą mieszkańcy Tristan da Cunha skorzystać z dobrodziejstw cywilizacji i ułatwień, jakie im daje Welfare State? Wypowiedź jednego z przywódców wyjaśnia to zagadnienie następująco: nie sądzicie abyśmy byli niewdzięczni za to co nam zrobiono w Anglii, czujemy jednak, że tu nie możemy oddychać swobodnie. Wydaje się nam, że każdy Anglik żyje nerwami od swego urodzenia poczawszy, aż do chwili śmierci. Ludzie nie mają czasu myśleć, marzyć, cieszyć się pięknem życia, spokojem, morzem, górami i świeżym powietrzem. Wszyscy starają się dociągnąć do poziomu swych sąsiadów, prześcignąć ich — a jeżeli im to się nie uda — czują się nieszczęśliwi. Kobiety europejskie umierają dwukrotnie: pierwszy raz gdy już nie budzą zainteresowania mężczyzny, a po raz drugi śmiercią naturalną.

Nie mamy większego życzenia jak wrócić na naszą wyspę i żyć naszym własnym życiem, i porzucić cywilizację. Wydaje się, jakbyśmy przez pobyt tutaj stracili część siebie samych i jeżeli przez powrót do naszego dawnego bytu odzyskamy swoją osobowość, swoje "ja" — będziemy szczęśliwi; jeżeli natomiast nie uda się — to życie nie jest warte by je kontynuować.

Taką jest ich filozofia życia. Obecnie rząd brytyjski poczynił odpowiednie kroki do powrotu mieszkańców Tristan da Cunha i wszyscy za wyjątkiem kilku, opowiedzieli się w zarządzonym głosowaniu tajnym, za powrotem.. Rzecz charakterystyczna: przywódca gminy dostaje całę mnóstwo listów z Anglii z prośbą o włączenie ich do swej grupy i zabranie na wyspę, lecz wszystkie z reguły załatwia odmownie.

W. CHOCIANOWICZ

Przybysz z dalekiej SYBERII

Prasa polska coraz częściej notuje przypadki pojawiania się w lasach syberyjskiego zwierzątka futerkowego, jenoty. Ostatnio jenot stał się niespodziewaną zdobyczą myśliwych polujących na lisy w rzeszowskim. Został schwytany żywcem, prawdopodobnie znajdzie się w którymś z ogrodów zoologicznych.

Jenot czyli kunopis, mały dziki piesek obdarzony cennym futerkiem, gnieździ się w norach, poluje nocami na drobne ssaki i ptaki. Skądże wziął się w Polsce, skoro jego ojczyzną są dalekie tundry Syberii wschodniej? Tam futro jenoty należy do ważnych produktów przemysłu łowieckiego.

Otóż w Związku Radzieckim próbowano organizować hodowlę jenotów w różnych częściach kraju. Między innymi taka hodowla powstała na Białorusi. Część jenotów wydoszła się z zagrody i rozpełzała po okolicznych lasach. Przybysze z Syberii przekroczyli granicę Polski i znaleźli w polskich lasach dogodnie dla siebie warunki. Początkowo jenoty pojawiły się w Puszczy Białowieskiej. Zainteresował się nimi światowej sławy badacz ssaków, zmarły niedawno prof. August Dehnel. Wypchany egzemplarz jednego z pierwszych jenotów jakie pojawiły się na ziemiach polskich znajduje się w Muzeum Białowieskim. W muzeum tym znajdują się również różne okazy

fauny polarnej, które zawędrowały do Białowieży i tu się osiedliły, jak sowa i puszczyk polarny, pardwa i zajęć bielek, przybierający na zimę białe ubarwienie.

Jenot nie pozostał na Białowieży i powędrował dalej. Najpierw zauważono go w lasach mazurskich. Tu rozmnożył się i posuwa się coraz bardziej na południe, już spotyka się w lasach kieleckich i rzeszowskich. Można sądzić, że w ciągu niewielu lat jenot wejdzie na stałe na listę zwierzyny łownej w Polsce, jako pozycja cenna, bo dostarczająca wartościowego futerka. Na razie znajduje się pod ochroną, naukowcy łowieccy pilnie badają jego obyczaje i sposób przystosowywania się do polskich warunków. Chodzi bowiem o to czy azjatycki przybysz nie stanie się w naszych zespólach leśnych szkodnikiem. Zoologia i łowiectwo zna wiele przypadków szkodliwych skutków aklimatyzacji.

W Polsce jak dotychczas możemy zanotować kilka przypadków trwałej aklimatyzacji zwierziny. Bażant jest pożyteczną pozycją na polskich łowiskach, jednak nie jest zdolny do samodzielnego utrzymania się, bazą jego rozmnażania się są zawsze hodowle. W okresie międzywojennym wtargnęły do Polski

Korespondencja z dna Bałtyku

Z nosem rozplaszczonym na szybie wyziernika oglądam podwodny świat w całym jego fantastycznym przepychu barw — od jasnego seledynu nad kopułą hydrokoopera, do zielonogranatowej toni pod nami. Głębokościomierz wskazuje w tej chwili 10-metrowe zanurzenie, a strzałka manometra stale wychyla się w prawo; schodzimy coraz niżej. Gdyby nie wskazania głębokościomierza i coraz ciemniejsza barwa toni za szybami, absolutnie bym nie przypuszczał, że ciśnię już nas przeszło 10-metrowej wysokości siup wody. W kabynie hydrokoopera nic się nie zmieniło, nie odczuwam żadnego nacisku na uszy. Z zewnątrz, zza stalowej ściany podwodnego statku dobiega stłumiony przez wodę szum pracy silników elektrycznych i śrub napędowych. Schodzimy coraz niżej...

Wrażenia? Niby nic się właściwie nie dzieje, ale sama świadomość, że znajdujemy się na głębokości 20 m w lodowatym morzu wyzwala legiony mrówek, które maszerują po moich plecach. Za wszelką cenę usiłuję zahamować ich pochód, perswaduję więc sobie, że przecież półtora roku temu zjechałem na dno basenu portowego w kabynie obserwacyjnej z pokładu "Czapli" — statku Polskiego Ratownictwa Okrętowego, po czym wróciłem do domu cały i zdrowy. Ale po pierwsze — kabina owa była wówczas na uwięzi, a po drugie — kabina osiągnąwszy głębokość 8 m osiadła na dnie basenu. Teraz natomiast głębokościomierz wskazuje 30-metrowe już zanurzenie, a hydrokooper coraz bardziej oddala się od statku towarzyszącego, z którym łączy nas jedynie radiotelefon.

Jak oliwa na wzburzoną falę działa na mnie spokój i absolutna pewność siebie głównego hydronauty (ja jestem hydronautą-pasażerem), konstruktora i budowniczego hydrokoopera — Leona Druckera, który w ciągu minionych osiemnastu lat spędził pod wodą 16 tys. godzin, czyli bez przerwy 22 miesiące! Leon Drucker jest bowiem zawodowym nurkiem Gdańskiej Stoczni Remontowej i znanym w Gdańsku "hobbystą": jego konikiem jest racjonalizacja i wynalazki.

Gdyby przyglądające się naszemu pojazdowi podwodnemu bałtyckie ryby znały alfabet, mogłyby odczytać wymalowany niebieskimi literami na kopule hydrokoopera napis "GDAREM I". Zanim osiągniemy dno Bałtyku postaram się w telegraficznym skrócie wyjaśnić, co to takiego ten "GDAREM I", dla jakich celów został stworzony i do jakiego pewnego marcowego dnia zawiodły mnie dziennikarskie obowiązki.

Otóż "GDAREM" oznacza Gdańską Stocznice Remontową, w której zbudowany został uniwersalny statek podwodny. Dużej pomocy nurkowi udzieliła dyrekcja stoczni i komórka postępu technicznego, które udostępniły mu materiały i narzędzia potrzebne do budowy statku. Pomocy tej udzielono tym chętniej, że starszy nurek Drucker ma na swoim koncie sporą już ilość usprawnień i wynalazków, które przyniosły gospodarce narodowej imponujące korzyści. Kilka lat temu będąc nurkiem na statku-bazie flotylii rybackiej "DALMORU" na Morzu Północnym przebudował końcówkę palnika acetylenowego używanego na lądzie i przystosował go do prac podwodnych. Odtąd sam wykonywał na pełnym morzu wszystkie te prace spawalnicze, z którymi dawniej statki musiały odchodzić na remont do portów Morza Północnego. Wkrótce potem nurek Drucker opracował nową metodę remontu nabrzeży w ich części podwodnej. Zastosowanie tego projektu w samej tylko Gdańskiej Stoczni

Remontowej przyniosło 48 mln złotych oszczędności. Dlatego też gdy kilka lat temu Drucker przedstawił dyrekcji GSR projekt zbudowania uniwersalnego statku do badań i prac podwodnych na dużych głębokościach — dyrekcja natychmiast dała na to zgodę, chociaż podniosły się głosy, że cały aparat jest marzeniem z tysiąca i jednej nocy.

Drucker tymczasem zakazał rękawy, dobrał sobie do pomocy robotników — specjalistów od spawalnictwa, silników i instalacji elektrycznych, którym płacił honoraria z premii za swoje poprzednie projekty racjonalizatorskie. Stocznia oddała mu do dyspozycji materiały i wyposażenie wartości około 30 tys. zł. Jak obliczyli fachowcy, obecna wartość aparatu przekracza ćwierć miliona złotych.

Tak powstał jedyny w swoim rodzaju pojazd głębinowy, którego kadłub stanowi wałec stalowy o wysokości 3 m i średnicy 1,5 m, zakończony kulistymi kopułami, przy czym w górnej kopule znajduje się wąż oraz trzy wylotniki o średnicy 140 mm. Z obu stron aparat ma dwa niezależnie działające silniki w hermetycznych obudowach, zakończone dwiema śrubami napędowymi, pracującymi naprzód i wstecz. Specjalna konstrukcja obudowy silników zmniejsza na niezależną i natychmiastową zmianę ich położenia w granicach 180 stopni.

Silniki pobierają energię z baterii akumulatorów o mocy, która pozwala im na 10 godzin nieprzerwanej pracy na maksymalnych obrotach. Zespoły napędowe dają aparatowi bardzo dużą szybkość w ruchu pionowym przy zanurzeniu i wynurzeniu, i szybkość 3 węzłów (około 5 km) na godzinę przy ruchu postępowym. "GDAREM" jest wyposażony w zapas powietrza w butlach oraz w specjalny regeneratory, który pochłania z powietrza dwutlenek węgla, a wydziela tlen.

Budowę statku przez cały czas nadzorowała kontrola techniczna Stoczni, a wszystkie zespoły aparatu mają odpowiednie atesty. W ubiegłym roku "GDAREM I" odbył trzy kolejne próbne zanurzenia na tzw. głębi dokowej basenu stoczniowego. Wszystkie próby wypadły nadzwyczaj pomyślnie. Ze względu na niebezpieczeństwo prób pierwsze 3 zanurzenia Drucker odbył sam, chociaż aparat wygodnie mieści dwie osoby. Dzisiejszy rejs należy więc uznać za pierwszy rejs załogowy, zwłaszcza że wychodzimy na Zatokę.

Ledwo wyczuwalne uderzenie o piaszczyste dno zasygnalizowało kres podróży w głąb Zatoki Gdańskiej. Na 35 metrach jest jeszcze dosyć jasno. Wody zatoki są czyste, nie ma żadnego porównania z gęstą zawiesiną w basenach portowych. Ustawione w położeniu poziomym oba silniki wiodą teraz wybalastowany aparat tuż nad samym dnem, na którym doskonale widać rzeźbę wymodelowaną niustannym falowaniem.

Hydronauta wykonuje teraz kilka manewrów, aby sprawdzić działanie wszystkich urządzeń na większych głębokościach: przeciwbieżna praca obu silników okręca błyskawicznie hydrokooper dookoła jego osi. Stop!

DR STANISŁAW BUNDYRA

Jedyny adwokat polski w São Paulo

Załatwia wszystkie sprawy cywilne, handlowe i pracownicze, jak: inwentarze, mieszkaniowe, upadłościowe itp. —

BIURO: Rua Senador Feijó, 29 4 p. s.

417 (obok Katedry) tel.: 35-6521.

PRZYJMUJE OD 13 DO 19 GODZINY.

Po częściowym wyszasowaniu balastu (woda) hydronauta kieruje aparat pionowo ku górze. Strzałka głębokościomierza gwałtownie leci w lewo. I teraz następuje jeszcze jedna przewidziana na dzisiaj próba: zatrzymanie hydrokoopera na określonej głębokości. Otóż przeciwnicy projektu nie wierzyli w stateczność aparatu i w związku z tym przepowiadali fiasko wszelkich prób ustabilizowania aparatu na określonej głębokości. W rzeczywistości wszystkie próby wykazały słuszność założeń konstruktora.

Idziemy znów pionowo ku górze i wreszcie słońce: wynurzenie aparatu. Teraz dopiero odczuwam kołysanie. Przez radiotelefon zawiadamiamy statek-opiekuna, że na silnikach idziemy w kierunku wejścia do portu.

Leon Drucker zaprojektował "GDAREM I" z myślą o tym, że będzie mógł on dotrzeć wszędzie tam, gdzie dla nurka w skafandrze klasycznym czy pancernym dostęp jest niemożliwy. Hydrokooper Druckera już dzisiaj może schodzić na głębokość do 500 metrów, a po zbudowaniu kadłuba ze specjalnej stali — do 5 tys. metrów. Zaopatrzone w karbowane reflektory i "dłonie pneumatyczne" o kulistych przegubach aparat może spełnić rolę uniwersalnego szperacza podwodnego, głównie przy likwidowaniu podwodnych cmentarzysk. Zazwyczaj opracowanie dokumentacji niezbędnej do wydobywania wraku trwa pół roku, a nawet i dłużej — w zależności od głębokości, pory roku, pogody itp. Tymczasem "GDAREM I" czy ulepszony "GDAREM II", którego projekt techniczny jest już gotowy, niezależnie od pogody może zejść na każdą głębokość i opłynąwszy w ciągu kilku godzin wrak nakręcić film — a tym samym pokazać położenie wraku i jego uszkodzenie. Hydrokooper może też oddać nieocenione usługi przy badaniach oceanograficznych i biologicznych. Dlatego aparatem tym tak bardzo interesują się uczeni z Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni.

I oto reda Gdańska. Wolno podchodzimy do statku, z którego podadają nam hol. Zegnaj podwodny świecie seledynowych barw...

Stanisław K. Szwentner

Przybysz...

Dok. ze str. 17

szczury piżmowe hodowane dla cennego futerka w Czechosłowacji. Wyrządziły one wiele szkód. Dzikie króliki, które pojawiają się w Polsce mniej więcej przed pół wiekiem występują gdzieś niedługo jak zwierzęta łowne. Króliki wyrządzają szkody, a przy tym wypierają cenniejszego zająca. Na szczęście polskie warunki klimatyczne ograniczają rozmnażanie się dzikich królików. Mimo to jednak w ostatnich latach przekroczyły granicę Wisły i znalazły się na jej wschodnim brzegu. Wspomnijmy jeszcze o raku amerykańskim, który miejscami wyparł raka polskiego większego i bardziej cenniejszego. Natomiast do pozytywnych osiągnięć można zaliczyć aklimatyzację muflona, dzikiego śródziemnomorskiego barana skalnego. Muflony aklimatyzowano jako zwierzę łowne w Górach Dolnośląskich oraz Górach Świętokrzyskich. Muflon może być jednak aklimatyzowany tylko tam gdzie nie występują wilki, jest bowiem zupełnie bezbronny wobec tych drapieżników.

Jak będzie z jelenem, zobaczymy. O ile okaże się, że będzie się żywił w głównej mierze drobnymi gryzoniami i nie będzie wypierał innych rodzajów cennej zwierzyny krajowej, to wówczas powitamy go przychylnie i, skoro się rozmnoży, znajdzie się nie na ostatnim miejscu iowieckich "rozkładów" na zimowych polowaniach.

Marek Sadzewicz

I V E T A

Opowiadanie p. van Wittereena. Część pierwsza.

(Dokończenie z nr. 28)

Oznaczonego dnia Aleksander nie powrócił z urlopu. Wobec tego, że leśniczy, w którego rejonie pracowaliśmy właśnie, nie pokazywał się od kilku dni na plantacji pojechałem dowiedzieć się co się z nim dzieje i prosić, aby nieobecność Aleksandra zachował w tajemnicy tak długo jak to będzie możliwe. Dyrekcja Kompanii przestrzegała bardzo ściśle dyscyplinę urlopową, a za nieusprawiedliwione opóźnienie powrotu groziło natychmiastowe zwolnienie.

Zajeżdżałem przed leśniczówkę pod wieczór i zostawiłem samochód na drodze. Odgłos psalmów śpiewanych po holendersku dzwicznym barytonem p. van Wittereena i chropawym kontraltem pani van Wittereenowej upewnił mnie, że oboje państwo są w domu i że spożyli już kolację. Nagłe moje zjawienie się w drzwiach salonu nie przerwało pieśni. Wprawdzie pan van Wittereen powstał z fotela, a pani van Wittereen położyła psalterz na stoliku, ale ostatnia strofa hymnu została odśpiewana do końca, a jej słowa zdawały się skierowane do mnie.

Przy filiżance czarnej jak smoła kawy i twardych jak skała sucharkach wyłożyłem cel mojej wizyty.

Leśniczy zaczął nabijać tytoniem porcelanową fajkę.

— Przypuszczam, że pan przyjedzie — pokiwał głową. — Gdyby się pan nie zjawił sam bym pana jutro odszukał. Przed godziną wróciłem z miasta. Nie wiem, czy pan wie, że moja matka złamała nogę. Odwiedziłem ją w szpitalu.

Wyraziłem głębokie współczucie z powodu smutnego wypadku.

— A co do Aleksandra — ciągnął, pykając z fajki — to właśnie z jego powodu chciałem się z panem widzieć.

— Skąd pan wiedział, że nie powrócił na czas z urlopu?

— Bo go spotkałem — powiedział pan van Wittereen najniższym tonem na jaki stać było jego baryton. — Tak, panie, — westchnął — spotkałem naszego przyjaciela w przeddzień katastrofy.

— Niech pan opowie wszystko po kolei.

— Właśnie zamierzam to zrobić — powiedział leśniczy zwilżając wargi kawą.

— Słucham.

Po odwiedzeniu matki w szpitalu postanowiłem się trochę rozerwać. Zapach eteru, karbolu, pokrławione bandaże, wszystko to wywołało pragnienie kieliszka dobrego likieru holenderskiego. Jak pan wie — powiedział znacznie głośniejszym, zwracając się w kierunku otwartych drzwi kuchennych, gdzie krzątała się pani van Wittereenowa — jestem abstynentem. W moim pojęciu alkohol to lekarstwo, które powinno się stosować w wyjątkowych wypadkach. Przyzna pan, że znalazłem się w wyjątkowej sytuacji.

— Bez wątpienia — skinąłem głową — ale co z Aleksandrem?

— Kocham muzykę...

Leśniczy nie dał się wytrącić z równowagi natarczywym pytaniem i wziósł oczy ku rozsyhajacemu się brudnemu sufity.

— Kocham muzykę, panie, — powtórzył marząco. — Jak pan wie nie mamy tutaj nawet radia. Likier holenderski i walc wiedeński przywróci mi zdrowie, — pomyślałem.

— Poszedł pan na dancing — starałem się przyspieszyć opowiadanie.

— Tak właśnie się stało.

Pan van Wittereen odłożył fajkę, dopił resztę kawy i wytarł starannie usta kraciatą chustką.

— Kiedy stałem przy barze rozkoszując się brzoskwiniowym likierem Bolsa spostrzegłem Aleksandra. Było to po trzecim kieliszku w chwili, w której zastanawiałem się, czy nie warto by spróbować "Advocata". Nie wiem, czy zna pan ten trunk? — poprawił się w fotelu. — Robi się go ze świeżych żółtek i wyborowej brandy.

— Drogi panie, — rzekłem starając się nadać głosowi ton możliwie spokojny — niech wszyscy diabli wezmą pańskiego "Advocata". Już dziesiąta, a ja chcę się dowiedzieć gdzie jest Aleksander.

— Aleksander — leśniczy wydał usta grymasem niesmaku — przebywa w więzieniu. Jeśli będzie mi pan ustawicznie przerywał — dodał zabierając się do ponownego ładowania fajki — nigdy nie skończę tej tragicznej historii.

— Nie będę już panu przerywał — powiedziałem zrezygnowany.

— Jak już powiedziałem spostrzegłem Aleksandra — ciągnął leśniczy. — Rozpoznałem go z pewną trudnością nie widziałem go bowiem nigdy w wieczorowym ubraniu i w krawacie. Ale nie to było główną przyczyną przeszkód w rozpoznaniu. Nasz przyjaciel miał zmieniony wyraz twarzy, patrzył dokoła siebie jak by nikogo nie widział.

Pan van Wittereen zamilkł na chwilę starając się widocznie skupić rozpięczę myśli.

— Przepraszam, — powiedział wreszcie — źle się wyraziłem: powinienem powiedzieć, że zachowywał się jak gdyby widział tylko jedną osobę.

— Pici żeńskiej — odpowiedziałem.

— Trafił pan w sedno — potwierdził z uznaniem pan van Wittereen. — Początkowo odniosłem wrażenie, że widziałem gdzieś tę dziewczynę o niezwykłej, trzeba to przyznać, urodzie. Strój jej jednak i taniec wykluczyły to przypuszczenie. Ubrała była...

... w białą krynolinę, przepasaną szafirowym paskiem, białą jedwabną bluzkę, szal hiszpański, szafirowe pantofelki z klamerką — wyrzuciłem jednym tchem.

Pan van Wittereen powstał z fotela, strącając popielniczkę i fajkę na ziemię, podszedł do filtru wiszącego w roku pokoju, napełnił szklanę wodą i wychylił ją drobnymi łykami.

— Skoro pan tam był to czemu mnie pan mężczy opowiadaniem? — dodał cierpko.

ALEKSANDER LECI DO RAJU

Aleksander stał przed budynkiem lotniska patrząc na wzgórce przecięte czerwoną linią drogi wiodącej do Imborinho.

Tą drogą miała właśnie nadejść Iveta. Kiedy sylwetka jej pojawiła się na wzgórzu uśmiechnął się i uspokoił. Plan urlopu był opracowany do najdrobniejszych szczegółów. Iveta znała go na pamięć. Wszystko musiało się udać znakomicie.

Aleksander opuścił punkt obserwacyjny i zaczął spacerować wzdłuż runway'u. Kiedy dziewczyna weszła do poczekalni nie odwrócił się i nie spojrzął na nią.

— Przebywa teraz niewielki hall — pomyślał — otwiera drzwi do damskiej garderoby, wyjmuję z walizki, którą dostarczyłem jej wczoraj, mydło i ręcznik, myje się, czesze, siada na otomance i czeka na odgłos samolotu.

Na lotnisku, położonym samotnie wśród zagajników pustego. Jeden jedyny urzędnik, Murzyn, przygotowuje paczki do ekspedycji. Pogoda wspaniała, "rekaw" na dachu hangaru wisi martwo, samolot ląduje punktualnie co do minuty. Aleksander wchodził po schodach do kabiny, nie oglądając się za siebie. Zaledwie połowę miejsc zajmują pasażerowie.

Nagle Aleksander czuje dotknięcie ręki na ramieniu. Iveta stoi przy nim. Obraca się ku niej i ujmuje za dłoń. Ona oswojada się z uściskiem i otwiera walizkę.

— Przyniosłam kawę — szeptem.

Godziny urlopu, spędzonego w "wielkim mieście", mijają jak sekundy. Pierwszy dzień to fryzjer, magazyny, poprawki sukien w krawca, obiad w pierwszorzędnej restauracji, przejażdżka samochodem na plażę, podwieczorek na werandzie dużej cukierni, kino, kolacja, dancing. Aleksander czuje szum w głowie. Gorąco jest nieznośne, neapolitański krawat pali szyję, chustka mokra od potu. Ale Iveta nie odczuwa zmęczenia. Pierwsza wstaje do tańca, wypróżnia każdy kieliszek, chrupie kawałeczki lodu. Oczy jej stają się tylko bardziej zielone, połyskliwe, coraz dłużej zatrzymuje wzrok na twarzy Aleksandra, coraz mocniej przyciska się do niego w tańcu.

Po północy wracają do hotelu. Apartament, złożony z dwóch pokoiów i łazienki, zawałony jest paczkami dostarczonymi w międzyczasie ze sklepów. Iveta znajduje tu swoją krynolinę, paryski toczek w hinduskim stylu, pantofelki, jedwabną piżamę, nylonową koszulkę nocną.

Aleksander zostawia ją w pokoju i udaje się do łazienki. Chłodny, orzeźwiający prysznic przywraca mięśniom prężność. Czuje się nagle wypoczęty, gotów wrócić na dancing i tańczyć do rana. Kiedy wraca do sypialni zastaje Ivetę przed lustrem. Szary kostium leży na niej jak ulany, uwydatniając idealne proporcje figury. Aleksander obraca ją kilka razy, przyciska do siebie i całuje.

— Teraz kolej na ciebie, Iveto, — mówi — idź do łazienki i weź chłodny prysznic. Poczujesz się jak nowonarodzona.

Szum spływającej wody wydaje mu się najpiękniejszą muzyką.

Drzwi łazienki otwarte. Aleksander chwytą za klamkę. Serce zaczyna mu bić przyspieszonym tętnem, krew uderza

do głowy. Iveta stoi w wannie, okryta przezroczystym welonem wody. Głową przechyliła w tył, włosy opadają jej na plecy, ramiona wzniosła do góry, strumyki wody spływają jej na piersi. Stoi nieruchoma jak posąg z brązu pod kaskadą wody.

Przytomność opuszcza Aleksandra.

Wycieczki na plażę, kąpiel w morzu, galerie obrazów, muzea, balet francuski, wizyty w pracowni przyjaciela, młodego włoskiego malarza, któremu Iveta pozuje do szkicu, dancingi w licznym towarzystwie, szampan o północy — to następne dni wielkomięskiego siedmiodniowego raj. Przerwywają go tylko dwa wydarzenia. Pierwsze to nieoczekiwane spotkanie leśniczego pana van Wittereena. Na jego widok Aleksander poleca Ivecie opuścić dancing i wrócić do hotelu. Iveta wykonuje to polecenie z widoczną niechęcią. Drugie to nagła decyzja Ivetę odwiedzenia "siostry", o której istnieniu nie powiedziała nic Aleksandrowi.

PRZEBUDZENIE ALEKSANDRA

Promienie słońca padające na poduszkę budzą Aleksandra. Iveta również już nie śpi. Odrzuciła kódrę, podgięła nogi i patrzy w sufit. Wie, że Aleksander się obudził. Nie odwracając się ku niemu zaczyna gwizdać melodię ostatnio przetańczzonej samby. Gwizdanie to, nieco fałszywe, drażni Aleksandra.

— Przestań, Iveto — mówi, odwracając się od światła.

Iveta przestaje gwizdać.

— No i co dalej? — pyta nie zmieniając pozycji i nie odrywając wzroku od sufitu. — Jutro kończy się "nasz" urlop.

Aleksander siada na łóżku i stara się ją przykryć prześcieradłem. Iveta ruchem bosej stopy strąca prześcieradło na ziemię.

— I co dalej, senhor Alexandre? — powtarza pytanie bardzo głośno.

Aleksander zapala papierosa.

— Ano cóż? — zaciąga się dymem. — Trzeba wracać.

— I to wszystko? — mówi dziewczyna, patrząc ciągle w sufit.

— Nie możemy zrobić nic innego.

— Nie możemy? — Iveta jest wyraźnie zdziwiona.

Aleksandra ogarnia nagle złość. Wydał prawie wszystkie pieniądze, nakupił jej strojów, pokazał "świat". Czemu ona jeszcze chce?

— A tak, — powtarza sucho — nie możemy.

Iveta zeskakuje z łóżka, kładzie swoją starą sukienkę i gotuje się do wyjścia.

— Gdzie idziesz? — pyta Aleksander.

— Do siostry — odpowiada Iveta, zamykając drzwi za sobą.

Tak jak w dniu wyjazdu ukazanie się dziewczyny na drodze uspokoiło Aleksandra tak teraz jej nieobecność pozwala zebrać rozpierzchłe myśli i oprzytomnieć. Leżąc w łóżku i paląc papierosa stara się zanalizować sytuację. Brazylia jest tylko etapem jego wędrówki. W Stanach Zjednoczonych ma bogatych krewnych, którzy myślą o jego przyszłości. Niedawno otrzymał z Ameryki fotografię panią, którą jako młody chłopiec poznał w Salonikach. Rodzice jej mają restaurację w Chicago, własny dom, samochód. Wraz z krewnymi Aleksandra starają się o wizę dla niego. Przytomniejąc zaczyna się dziwić sobie. Iveta jest urzekająco piękna, to prawda, dzika w szale oddania, nienasycona w rozkoszy, ale zupełnie mu obca. Nie rozumie nawet dobrze jej języka, nie stara się odgadnąć myśli. Ogarnia go senność.

— Głupia przygoda, — myśli zasypiając — jutro będzie po wszystkim.

Koło południa budzi go mocne szarpnięcie. Światło słoneczne oślepia go na chwilę. Poprzez zmrużone powieki jak przez mgłę widzi pochylone nad sobą dwie postacie. Jedna z nich — w mundurze.

— Niech się pan ubiera — słyszy rozkazujący głos.

— O co chodzi? — zapytuje półprzytomnie.

— Zaraz się pan dowie — odpowiada korpulentny policjant rozkładając papiery na stoliku obok lustra.

Wstając z łóżka Aleksander spostrzega Ivetę. Dziewczyna stoi oparta o drzwi. Chwilę patrzy na niego obojętnie, potem odwraca głowę. Aleksander ogarnia wzrokiem pokój. Pałuje w nim całkowity bezład. Łóżko ze zmietą piżamą Ivetę, biała krynolinka zwiesza się z poręczy fotela, pończochy leżą na dywanie, jego własne spodnie walają się na podłodze koło komody.

— Nazwisko, narodowość, numer dowodu osobistego? — skanduje policjant.

Potem po spisaniu danych personalnych zwraca się do Aleksandra.

— Nie zaprzeczy pan? — mówi, wskazując na łóżko rozrzuconą garderobę i Ivetę.

— Nie zaprzeczę — mówi Aleksander, czując, że zaczyna ją go palić policzki.

— Czy wie pan ile lat ma senhorita Iveta Carvalho?

— Nie wiem.

— Siedemnaście, proszę pana. Zgodnie z prawem naszego kraju musi ją pan poślubić.

— A jeśli tego nie zrobię?

— Grozi panu sześć lat więzienia.

OPOWIADANIE PANA VAN WITTEREENA. — Część druga.

Zrobiło się już bardzo późno i van Witteren zapalił lampę naftową.

— Niepotrzebnie się pan na mnie gniewa — uśmiechnąłem się pojednawczo. Nie byłem w mieście. Nasz młody przyjaciel opowiedział mi jak zamierza ubrać swoją wybranek. Przewidywałem, że dotrzyma słowa.

— Umówiliśmy się na dancingu, że wrócimy razem — westchnął leśniczy. — Rano zjawiłem się w hotelu, żeby zabrać Aleksandra na lotnisko. W hallu spotkałem tę dziewczynę. Dopiero teraz ją poznałem. To Iveta Carvalho, robotnica z mojej "turmy".

Pan van Wittereena wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Ojciec jej został skazany na dożywotnie więzienie za morderstwo. Niesłychane! — powtórzył kilkakrotnie. — Myślałem, że na mój widok ucieknie na ulicę, ale gdzie tam! Uśmiechnęła się i pozdrowiła jak równy równego. Portier i boy hotelowy nieśli za nią walizki. Czy pan rozumie? Nieśli walizki za Ivetą. Pojechałem do komendy policji. Aleksander przedstawił mi swoją sytuację. Miał trzy alternatywy: ożenić się z Ivetą, pójść do więzienia albo zapłacić zawrotnej wysokości karę. Do czasu rozprawy sądowej mógł się zwolnić za kaucję.

Pan van Wittereena silnym trzepnięciem zabił komara na policzku i ciągnął dalej:

— Poprosił mnie o pożyczkę. Mam wprawdzie pieniądze w banku, ale Bóg raczy wiedzieć jak długo musiałbym czekać na zwrot długu. Wprawdzie Aleksander telegrafował o pomoc do swoich krewnych w Stanach Zjednoczonych, ale Stany Zjednoczone daleko. Poprosiłem znajomego adwokata, żeby się nim zajął. Ledwo zdążyłem na lotnisko.

— Tak więc nasz przyjaciel siedzi w więzieniu?

— Tak, — odparł p. van Wittereena, otrzępując z kurzu swój kapelusz. — Podobno więzienia brazylijskie są strasznie brudne. Taki czysty chłopiec, co za komplikacja...

WSPANIAŁOMYŚLNA "SIOSTRA"

Zaczął się nowy tydzień. Na plantacjach nic się nie zmieniło. Czerwona chmura pyłu ziemnego znaczyła przejście naszych pięćdziesięciu kultywatorów motorowych pomiędzy zagajnikami araukarii, stada papug uciekały z krzykiem przed zbliżającą się tyralierą maszyn, słońce paliło niemiłosiernie.

Koło południa zjawiła się Iveta z kawą. Pytanie o miejsce pracy Octavia nie było potrzebne. Chłopak zbliżył się do nas.

— Już niedługo będziemy pracować w pańskiej "turmie" — powiedział. Ślub nasz odbędzie się w przyszłym miesiącu.

Objął dziewczynę ramieniem. Iveta otarła mu chustką pot z czoła.

— Tu jest bardzo nudno — oświadczyła. — Wyjedziemy do miasta i kupimy hotel.

— Jesteście widocznie bardzo bogaci — roześmiałem się.

— Siostra da nam pieniądze — powiedziała Iveta.

— Dużo pieniędzy — dodał Otawio, popijając kawę.

LIST ALEKSANDRA

"... piszę ten list z Chicago. Przykro mi, że wyjechałem bez pożegnania. Pracuję tu ciężko, żeby spłacić dług zaciągnięty u krewnych dzięki tej brazowej maipie.

Może zainteresuje pana wiadomość, że w zeszłym tygodniu zaręczyłem się. Moja przyszła żona jest wyjątkową kobietą. Wygląda naprawdę uroczo".

Aleksander.

Jeżeli Aleksander zaczął ją ubierać to wierzę mu na słowo. Chłopak ma niezły gust.

HENRYK PRZYBOROWSKI

ZASADZKA

HERBERTO SALES

Dwóch mężczyzn schodziło zboczem góry. Stary Patuá siedział na przedzie. Miał wąskie ramiona, długie wąsy i krzywe nogi, dość pewnie jednak jak na jego lata. Murzyn Guido siedział tuż za nim, trzymając w ręku torbę z amunicją. W szarzącym brzasku poranka odcinały się ostro zarysy doliny o posępnej rzece ściśniętej prostopadłymi ścianami skał.

Wędrowcy przeskakiwali z kamienia na kamień, zsuwali się po niemal pionowej goliźnie skalnej, pieli się karkołomną ścieżką i znowu wylaniali ze zwinnością kozic górskich spoza kęp malw i velame. Wydostali się wreszcie na łagodniejszy teren i posuwali się teraz spiesznym krokiem, otuleni w podniszczone sobretuda.

Powietrze było przesycone chłodem i wilgocią.

— Cusi on ukaże się dziś, jak myślisz? — spytał Guido.

— Muz. Jego święty nie może go wiecznie ochraniać.

— Czaturujemy już przecież od dwóch dni...

— Ano tak. Ale zdarzają się niekiedy długie i uciążliwe zasadzki. Nie doświadczyłeś jeszcze niczego, boś zielony.

— Przyznam się, że mi się już to uprzykrzyło.

Stary Patuá wydobyl z kieszeni kawał kręconego tytoniu, urwał zębami spory kęs i zaczął żuć. Był to stary nóg, którego ślady widniały na jego złotych siekaczach.

— Nie brałeś nawet udziału w zamordowaniu kapitana Cavalcanti.

— A cóż tam się zdarzyło szczególnego?

— Czatuwalimy na niego osiem dni bez przerwy.

— Osiem dni? Przysięgam, że nie miałbym tyle cierpliwości.

— Nie wytrzymałbyś tyle?

— Nie. A niech mnie Bóg broni.

Idąc niestrudzenie okazyli olbrzymią skałę i wydostali się wreszcie z gestwiny capim. Guido rozejrzał się: dniało. Świt zabarwił horyzont na czerwono, szczyty góskie na tle płonącego nieba wyglądały jak zwęglone szczątki po pożarze.

Stary Patuá powiedział nagle:

— A więc, przyjacielu, trzymaj palec w pogotowiu. Dziś się ostatni dzień.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Skąd? To nie ma nic do rzeczy. Zresztą lepiej nie wypytywać o pewne sprawy.

— Chyba, że rzuciłeś czary.

— Już ci powiedziałem — nie pytaj! — odparł stary niecierpliwie. — Masz jedną wielką wadę — lubisz wtykać nos gdzie cię nie proszą.

Guido był przesądny i jednocześnie czuł mistyczny respekt do towarzysza.

— Od dawna już słyszałem, — powiedział niepewnie — że jesteś mistrzem w rzucaniu czarów. Jestem tu, prawdę mówiąc, dopiero od miesiąca, ale w moich stronach opowiadano wiele o tobie.

— A nie powiadano ci czasem, że mam konszachty z diabłem?

— Wiesz, ludzie różnie plotą. Mówiono mi, że potrafisz zamówić ślad człowieka lub spowodować jego zniknięcie.

Stary Patuá przybrał tajemniczy wyraz twarzy.

— Czy nie zdajesz sobie sprawy z ryzyka, na które się narażasz przez głupią ciekawość?

— Nie miałem na myśli nic złego — mruknął Murzyn, zrywając szeroką dłonią żdźbło trawy. — Jeżeli nie lubisz, żeby cię pytano — to koniec. Chodzi mi tylko o tego tu, aby się nam znowu nie wyslizgnął.

— Więc milcz i czekaj.

Dzień się już zrobił zupełny, gdy wydostali się na rzdaj rampy i zatrzymali przed wejściem do niewielkiej pieczary. Otaczała ich gęsta i dzika roślinność. Usadowili się za głazem, jak to czynili od dwóch dni i stary Patuá powiedział:

— Lepszego miejsca nie znajdzie. Można stąd kropić ile wlezie.

Znajdowali się na krawędzi przepaści, dominującej nad strumą górską ścieżką. Na dnie doliny w korycie o wysokich skarpach szumiała rzeka. Niebo nie krwawiło już, czerwienią ustępowała miejsca różowemu zabarwieniu. Odezwało się ptactwo.

— Czy zgodzisz się na pewną propozycję, Patuá? — pytał Guido.

— O co chodzi?

— Strzelasz celniej ode mnie więc palnij mu w łeb.

— A ty?

— Ja kropnę w plecy, to większy cel.

Stary Patuá zdobył się na sarkastyczny uśmiech.

— Nie wyobrażałem sobie, że z ciebie taki nerwus.

Guido zmilczał, ale uwaga towarzysza mocno go zabolala. Raptem doznał olśnienia na widok glazu zasłaniającego wejście do pieczary. Głaz dawał wspaniałą ochronę.

— Jeżeli gość odpowie strzałami na nasze strzały — pomyślał — przewaga będzie po mojej stronie, glaz mnie osłoni.

Wydobył z pochwy długi, dziesięciocalowy nóż i zaczął krajać tyton na papierosa. Tak, ten glaz przywrócił mu spokój.

Tymczasem stary Patuá podniósł się, żeby raz jeszcze spenetrować okolice. Twarz miał przy tym skupioną i okrutną. Rozłożył imbezeiro rosnący na skraju przepaści podkreślał zalety kryjówki zastaniał bowiem całkowicie pieczarę. Spoglądając poprzez liściastą zasłonę stary Patuá widział jak na dłoni kamienistą i pustą ścieżkę.

— Cel doskonały. Gość ani piśnie.

Dno pieczary wysłane było miękkim kobiercem zielonych i złotych mechów. Siedziało się tam wygodnie. Stary Patuá złożył na kolanach strzelbę i sięgnął po worek z amunicją.

— Naładuję teraz strzelbę, Guido — oznajmił. — A ty uważaj. Z mojej pozycji nie widzę co się dzieje na drodze. Przez ten glaz. A ty ze swojego miejsca możesz zobaczyć wszystko. Tylko małą chwilę, Guido. Uwinę się z tym szybko.

— Tak jest.

— Czy widzisz wszystko?

— Widzę.

Była to prawda. Guido miał przed sobą wspaniałą widok na całą drogę. Głaz sięgał mu do piersi, a liście imbezeiro kryły głowę. Zapalił teraz papierosa pilnie uważając, aby dym leciał do pieczary. Sztachnął ze dwa razy, gdy uprzytomnił sobie, że mimo to dym może go zdradzić. Zgasił więc papierosa rozgniatając go o kamień. Wydmuchał, następnie z płuc, wszystek dym i dopiero wtedy się uspokoił.

— A gdzie rolimã? — spytał stary Patuá.

— Chcesz go użyć jako kulę?

— A jakże. Mówiłeś przecież, żebyś mu strzelił w łeb. No, więc nabój musi być odpowiedni. Dawaj! Ależ z ciebie maruda. Tylko patrzeć jak gość się pokaże. Już siódma.

Guido długo grzebał w torbie znowu znalazł rolimã. To łożysko kulkowe dostał w swoich stanach od mechanika z warsztatów samochodowych. Palce natykały się na naboje, sznurki, pakuły, pudełka z drobnym śrutem i kapiszonami, aż w końcu natrafiły na okrągły kawałek stali, który miał odegrać rolę kuli, kawałek stali o zimnym polysku, wielkości pestki owocu pitanga.

— Bierz!

Stary Patuá oglądał chwilę przedmiot, jak by oceniając wielkość dziury, którą miał wyźłobić w głowie ofiary. Później sypnął do lufy garść prochu i wsunął loftkę i grubo śrut. Przybił wszystko pakułami i założył sponkę.

— Gotowe? — spytał Guido.

— Gotowe — odparł stary, wycierając ręce zabrudzone prochem o spodnie.

Sprawdził raz jeszcze broń i dodał:

— Teraz ty zajmij się swoim samopalem, a ja będę stróżował.

Murzyn wlaził do pieczary i zabrał się do ładowania strzelby. Kiedy wydobyl z torby amunicję przyszło mu do głowy, że ładunek może być za słaby.

— Nie masz czasem grubego śrutu?

— Mam — odparł stary — i to śrut cabeça de macaco, niezastąpiony w tych sprawach. Służy do zabijania tygrysów. Zdaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyś sypnął jeszcze trochę gwoździ. To pewniejsze.

Guido ubił w lufie ołów i gwoździe.

— Nie dawaj tylko za dużo śrutu — zauważył Patuá.

— Chyba żartujesz?

— Żartuję?

— No, tak. Nie sądzisz chyba, że nie umiem ładować strzelby.

— Nie szkodzi zwrócić uwagę.

— Bądź spokojny. Dobrze odmierzyłem nabój.

Stary Patuá spojrział bystro na towarzysza.

— Dobra. Dawaj resztę ołowiu i stań koło mnie. Pamiętaj, strzelasz dopiero na mój znak.

— Zgoda — odparł skwapliwie Guido, — ale pozwól, że powiem: moim zdaniem powinno się strzelać zaraz jak tylko człowiek pokaże się na zakręcie.

Wskazał palcem miejsce.

— Cel gwarantowany, — dodał.

Stary Patuá zdawał się nie pochwałać propozycji kolegi. Jako zawodowy jagunço, który wiele razy w życiu brał udział w zasadzkach, był pełen pychy i zarozumiałości.

MIARA STRACHU

Brudny zmierzch ogarniał miasto, rozpełzał się po chmurnym niebie i odrapanych ścianach kamienic, zakradał się do serca siostry Marty Maciejewskiej i napełniając je melancholią kazał myśleć o rzeczach smutnych i jątrzących. Z okna, przy którym stała, widać było pobieloną świeżo spadłym śniegiem ulicę Leszno i czerwony mur getta. Nieco dalej czerniał w wieczornej mgielce drewniany most pomiędzy dwoma częściami getta. Panował tam nieustanny ruch, tłum spieszących się nie wiadomo czemu ciemnych postaci snuł się tam i z powrotem.

Ale siostra Marta prześlizgiwała się tylko wzrokiem po tych ludziach. Cofnęła się wreszcie z westchnieniem od okna, zaciemniła je i zapaliła karbidówkę. Pokój, w którym mieszkała był niewielki, cały zastawiony gratami, nieprzytulny. Nie znać tu było ręki kobiecej, dbałości o ład. Wszystko tchnęło tymczasowością, jak tymczasowym wydawało się siostrze Marcie jej życie w Warszawie okupowanej przez Niemców. Wciąż wybiegała myślą naprzód do czasów, gdy wojna się skończy. Przed oczami stawała jej twarz syna taka jaką widziała w chwili rozstania — jasne bujne włosy, długi nos, twarde, surowe rysy.

— „Mamo, ja wrócę!”

Było to w pierwszych dniach września. Wiedziała, że walczył potem pod Kutnem, że wycofywał się ze swoim oddziałem na wschód, ale poza jedną kartką, pisaną pośpiesznie na biwaku, nie otrzymała od niego żadnej wiadomości. Wierzyła, że nie zginął, bo i jakże by to mogło być. I czekała. W tym czekaniu wszystkie okupacyjne trudności, cała nędza dnia powszedniego, roztopiały się i zniknęły, nieważne i błahe.

Na pobliskiej wieży kościelnej zegar wydzwonił piątą. Siostra Marta wzdrygnęła się. Z karbidówką w ręku przeszła do kuchni, rozpałała pospiesznie ogień i postawiła wodę na

— Zostaw to mnie — powiedział. — W właściwym czasie dam ci sygnał.

— Dałbym teraz wszystko za łyk wódki — wyznał Guido.

— Wierzę. Tylko niestety manierka jest pusta od wczoraj. Nie ma ani kropelki.

— Gdyby gość się nie ociągał nie miałbym teraz wyschniętego gardła. Było przecież sporo pingi.

Nawet stary Patuá w skrytości ducha odczuwał brak alkoholu. Nie mógł się jednak powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

— Musisz się napić dla kuraju?

Guido puścił mimo uszu tę nową uszczypliwość.

— Czy słyszysz? — zapytał podniecony.

Patuá słyszał. W nadbiegającym odgłosie rozpoznał od razu stukot kopyt końskich.

— Zdaje się, że to on. Bądźmy gotowi.

Strzelby pochyliły się. Kamraci spojrzeli po sobie.

Śłońce zapalało skry na płytach kamiennych, a powietrze mimo chłodu było łagodne i suche. Ptak sabiá nadleciał i chciał spocząć w pobliżu pieczary, ale wyczuł obecność ludzi i uciekł. Potem rozległ się szmer liści — to umykała jaszczurka.

— Zbliża się — oznajmił Murzyn.

Tętent stawał się coraz bliższy i nagle na wzniesieniu drogi ukazał się łeb koński. Stary Patuá zachowywał kamienny spokój, ale Murzynowi zbieleły wargi z podniecenia.

— Czy to aby ten sam? — zapytał.

W tym momencie ujrzeli jeźdźca. Jechał pogwizdując z cicha. Guido rozpoznał fazendera Pedra Nevesa. Tak, to był on. Na widok tej energicznej i spokojnej twarzy wszystko co było dotychczas w Guidzie niepewnością i niepokojem odpadło. Doznał uczucia ulgi. Zmierzył trzymając palec na cynglu. Ujrzał jak jeździec wytarł twarz chusteczką i zapalił papierosa. Nie gwizdał już.

Dopiero wtedy Patuá rozkazał:

— Ognia!

Murzyn usiłował utrafić muszką w odpowiedni punkt na marynarce splamionej potem.

— Ognia! — powtórzył Patuá tonem pełnym oburzenia.

Dwa strzały huknęły jednocześnie wypełniając dymem pieczarę. Spłoszone ptactwo rozpierchło się na wszystkie strony. Rozległ się tętent. To koń fazendera uciekał co sił w nogach, wystraszony, oszalały, a strzemiona huczały jak dzwony, jak pęknięte dzwony, glucho.

Przełożył z portugalskiego:

JAN KRAWCZYK

herbatę. Czajnik zaczął właśnie syczeć, gdy z przedpokoju dobiegł ją niewyraźny szmer podobny do skrobania psa.

— Niech pani otworzy, ja bardzo proszę.

Głos był wyraźnie dziecięcy, cienki, jak by nadtrzaśnięty. Siostra Marta otworzyła drzwi.

W progu stała mała, może siedmioletnia dziewczynka, ubrana w lichą perkalową sukienkę i wełnianą zieloną chustkę.

— Pani mnie wpuści, prawda? Ja jestem bardzo głodna.

Duże, brązowe oczy, ocienione olbrzymimi wywiniętymi rzęsami patrzyły błagalnie na siostrę Martę.

— Dobrze, wejdz!

Mała prześlizgnęła się szybko do przedpokoju jak by obawiając się, że siostra Marta może zmienić decyzję.

— Ja mam brudne nogi, pani wie? Nie ma je o co wytrzeć?

Prędko oczyściła buty ścierką podaną przez siostrę Martę i zaraz rezolutnie zajrzała najpierw do kuchni, a później do pokoju.

— Ładne mieszkanie. Pani tu sama mieszka?

— Sama.

— Ale u pani ciepło! Muszę zdjąć chustkę. Co będzie jak ja powiem, że nie jestem wcale dziewczynka tylko chłopiec? Pani to robi różnicę?

Siostra Marta uśmiechnęła się.

— Nie.

— Pani wie, dziewczynce to zawsze łatwiej. Każdy ją prędzej wpuści do mieszkania.

— Pewno. A jak ci na imię?

— Srulek. Ja jestem z getta, pani wie?

— Jak się przedostałaś za mur? To musi być bardzo trudne.

— O wa! Wcale nie trudne. Ja stale chodzę do miasta. W murze jest dziura, nieduża, ale małe dzieci mogą przez nią przeleźć.

— I nie boisz się? A jak by cię złapał wartownik?

— On mnie nie śmie złapać. On chodzi w jedną i w drugą stronę. Trzeba tylko uważać. Jak się odwróci wtedy się biegnie.

— Nie pomyślałaś nigdy, że żołnierz mógłby cię zabić?

— Dlaczego nie? Ja sam widziałem jak Lejzorka zabił żołdat. On go wziął za nogi i uderzył głową o mur i Lejzorkowi wyleciał rozum z głowy. Tylko ja się nie boję. Co tam! A zresztą co ja mam w końcu robić? Moja mama jest wdowa i nas jest ośmioro i my jesteśmy biedni. A jak ja idę do miasta to ludzie mi dają jeść i jeszcze do domu przyniosę. Oplaci się. A jak by mnie zabili to co? Wielkie żmartwienie. Jednego Żydkę mniej.

— Chcesz jeszcze szklankę herbaty?

— Dlaczego nie? Ja bardzo lubię herbatę z prawdziwym cukrem.

— Umyjesz się teraz i położysz spać. Już późno.

— Ach, proszę pani, na co pani taki taki kłopot? Ja sobie pójdę.

— Nie zwracaj głowy. Prześpisz się w kuchni na tapczanie mojego syna. O, patrz, jaki wygodny!

— On jest wygodny, to fakt — przyznał Srulek i zaraz zaczął się rozbierać. — Mnie się naprawdę bardzo chce spać. I ja się umyję. Przepadam za myciem, ale my nie mamy mydła, ono jest drogie. Takie mydło to za nie można dostać bochenek chleba.

Siostra Marta wyszła na chwilę z kuchni, a kiedy wróciła chłopiec już spał. Kasztanowate włosy spadały mu na czoło. Rzęsy, długie jak firanki, drgały nerwowo.

Wycofała się cichutko na palcach, posłała łóżko i położyła się. Ale sen nie nadchodził. Myślała o swym małym gościu i o synu. Co robi w tym czasie i czy ma poduszkę pod głową.

Powoli powieki zaczęły ciężać i zamykać się, gdy nagle przywrócił ją do przytomności straszny krzyk. Zerwała się na równe nogi i jak stała, w długiej, sięgającej ziemi koszuli nocnej, pobiegła do kuchni.

Szybko przekreśliła kontakt.

Mała postać, wciśnięta w najdalszy kąt tapczanu koło ściany, wydała na jej widok westchnienie ulgi.

— Ach, proszę pani, tam jest szczur. Taki duży... Ja się tak boję!...

SEBASTIAN ARHENS

DR SAMUEL LEWKOWICZ

Absolwent wydziału medycyny w Paryżu (Sorbona) i w Brazylii, Lekarz Stowarzyszenia Pracowników Instytucji Publicznych stanu São Paulo. — Lekarz I. A. P. I.

Radioskopia, Elektroterapia - Klinika dla dorosłych i dzieci.

MÓWI SIĘ PO POLSKU — ON PARLE FRANÇAIS.

Rua Prates, 39, apt. 31 — Od 15,30 do 19,30 — Tel.: 36-8469. —

Mieszkanie: Rua Prates, 209 apt. 71 — Tel.: 36-8469. Rua Formosa, 376 16.º — Od 10,00 do 11,50 — Tel.: 32-3847.

SMIAK SOLI

Pół miliona ton soli, rozchodzącej się po całej Brazylii, produkują rocznie Macau i Areias Brancas, miasteczka, które stały się siedliskiem nędzy i upodlenia. Mieszkają tam górnicy, którym uciążliwa praca pozostawia rany na rękach, nogach i w ciemnych duszach; przewoźnicy, zarabiający 400 tysięcy kruzajrów miesięcznie i wyniszczający siebie żołądek jedzeniem fasoli z mąką maniokową i picciem soku z trzciny cukrowej; chłopcy, którzy nie mają dzieciństwa i którzy od dwunastego roku życia odwiedzają knajpy, pijąc w nich piwo po trzysta kruzajrów za butelkę; dziewczyny, które nie bawiły się nigdy lalkami i które nie posiadając mężów mają mnóstwo dzieci. Wiele, bardzo wiele dzieci, większość z których umiera nim minie rok. Miasta wyglądają jak by były w ruinach, domy są brzydkie, ulice brudne, obyczaj niemoaalne, dusze smutne. Miasta soli, za którą płaci się na miejscu 1.500 kruzajrów, a w São Paulo — 10.500 za tonę.

KONTRASTY

Właściciel kopalni soli w Areias Brancas ma tyle pieniędzy, że mógłby kupić cały zbiór bawełny i kupuje ten zbiór w istocie płacąc miliardy kruzajrów. Lecz prócz niego mieszka w Macau i w Areias Brancas górnik, który jest pariasem, przewoźnik, doker i bajeczne "entourage" nadające obu miastom przerażający i osobliwy wygląd.

Macau liczy 15 tysięcy mieszkańców. Nie ma tam kanalizacji i wodociągów, ubikacje i zlewy należą do rzadkości, a o kranach nikt nawet nie słyszał. Woda jest rzeczą drogocenną. Przywozi się ją z daleka na grzbietach ciężarowych. Jest brudna i pełna zarazków. W okresie zimowym, kiedy padają deszcze, a temperatura rzadko opada poniżej 40 st. C., sprzedaje się ją po 30 kruzajrów za dwudziestolitrowe naczynie. W lecie dochodzi do 500 kruzajrów za blaszankę. 250 kruzajrów to cena średnia.

Macau i Areias Brancas nie produkują żywności dla mieszkańców. Nawet główki kapusty. Wszystko przybywa z zewnątrz. Kto dodaje do fasoli z mąką maniokową kawałek suszonego mięsa ten odżywia się lepiej, tak przynajmniej uważa się w miasteczkach. Mimo to żona przewoźnika soli kupuje banlonową bluzkę, model z ulicy Augusta w São Paulo, i udaje się w niej bosą na targ kupić kawałek koziego mięsa oblepionego muchami.

BANLONY

W Macau wszyscy prawie mężczyźni mają po kilka kobiet. Bigamia jest powszechnym zjawiskiem społecznym, znany i uznany. W jej obrębie żyją spokojnie mężczyźni i kobiety, żony i konkubiny, dzieci z prawego i nieprawego łoża. Dwie lub więcej żony tego samego mężczyzny znają się, odwiedzają wzajemnie, czasem się nie lubią, ale zawsze współżyją zgodnie. Dzieci nie zdają sobie sprawy ze swego położenia, wszystkie uważają się za legalne potomstwo swego ojca.

A kobieta? Kobieta przedwcześnie wstępuje w związek z mężczyzną, bywa

niedojrzała do macierzyństwa, otacza się gromadą dzieci i żyje bez jakichkolwiek perspektyw na przyszłość.

Są dwa rodzaje mężczyzn w Macau: górnicy, zarabiający nędznie w ciągu zaledwie kilku miesięcy w roku oraz przewoźnicy i dokerzy. Przewoźnicy i dokerzy zarabiają dużo pieniędzy, z którymi nie wiedzą co zrobić, na co je wydać. Te dwa rodzaje mężczyzn określają dwa rodzaje ognisk domowych w mieście. Kobieta zależna od przewoźnika lub dokera kupuje banlonowe bluzki i używa je na codzień, co nie przeszkadza, że chodzi bosą i jest przeraźliwie brudna.

GÓRNIK

Górnicy jest pariasem. Zatrudniony w ciągu kilku zaledwie miesięcy w roku pracuje na akord i ma wyznaczony limit wydobywania. Pozostaje to w związku z określonymi kwotami wydobywania wyznaczanymi kopalniom przez Narodowy Instytut Solny, odpowiadającymi średniej spożycia wewnętrznego. Górnik żyje jak zwierzę. Wystarczy powiedzieć, że związek zawodowy toczy, jak dotąd bezskutecznie, walkę o obuwie robocze. Sandały gumowe używane obecnie, otwarte, umożliwiają przedostawanie się soli do stóp pracownika. Poza stopami i rękami podlegającymi obrażeniu przez bezpośredni kontakt z solą istnieje inne, znacznie poważniejsze zagadnienie — ślepoty. W pełnym słońcu i przy intensywnym upale refleks światła załamującego się w kryształach soli poraża siatkówkę oka i obniża zdolność widzenia organizmu pozbawionego witamin. Górnik powinien więc nosić przy pracy ciemne okulary.

W czasie pracy w kopalni górnik śpi na jej terenie. Śpi w wielkich barakach, pozbawionych ścian, w hamakach zawieszonych dziesiątkami na belkowa-

niach. Śpi często w dzień, ponieważ stara się pracować nad ranem, kiedy promienie słońca nie są takie palące.

Przed barakiem pali się ognisko i w żelaznym kotle pichci się czarna zupa z fasoli. W godzinie posiłku jeden z górników rozlewa warząchwia zupę do misek z mąką maniokową. Każdy spożywa porcję końcami palców. Reszta posiłku składa się z wody, przywożonej z daleka i kosztującej drogo.

POZOSTALI ROBOTNICZY

Przewoźnik i doker zarabiają dużo pieniędzy. Wystarczy porównać wymiar minimalnego zarobku ustawowego w stanie Rio Grande do Norte, wynoszącego zaledwie 10 tys. miesięcznie z zarobkiem robotników w przemyśle solnym, poza górnictwem, aby zrozumieć znaczenie tego fenomenu. Najpośledniejszy z dokerów lub pomocnik przewoźnika zarabiają ponad 70 tys. kruzajrów. Są zaś wśród przewoźników jednostki otrzymujące do 400 tys.

Człowiek z Macau nie ma żadnych planów, ani celów. Obchodzą go tylko dwie rzeczy: pieniądze i kobiety. I to nadaje ton miastu.

W każdym miasteczku na prowincji urzędnik Banku Brazylijskiego cieszy się poważaniem. Ale nie w Macau. Kiedy taki urzędnik zaczyna się targować o kawałek dyni albo blaszankę wody podchodzi przewoźnik w sandałach, postrzępionych spodniach, w rozpiętej koszuli albo zgola bez koszuli i zabiera mu towar sprzed nosa dając podwójną cenę.

Kiedy kończy się dzień roboczy przewoźnik wali do knajpy. Pije z kolegami. Ma co najmniej jeden dom, kobietę i dzieci. Częściej dwa ogniska domowe. Lub trzy. Wybiera kobietę, na którą ma w danym dniu ochotę. Je co ma do zjedzenia i kładzie się spać, kończąc cykl dnia, pustego, kubek w kubek jednakiego.

Ewaldo Dantas Ferreira
(Streszczenie redakcyjne z Folha de São Paulo).



Mecz piłki nożnej Flamengo — reprezentacja Polski (Brazylijczycy w koszulkach w paski, Polacy — w białych). Wygrali Polacy 3x2.

EKSPLOZJA DEMOGRAFICZNA W AMERYCE ŁACIŃSKIEJ

Ciąg dalszy z num. 28

Analizując efekty urbanizacji w porównaniu ze zwiększeniem globalnej liczby ludności dochodzimy do przekonania, że zwiększenie się zaludnienia w ośrodkach miejskich zawdzięczać należy przede wszystkim eksodusowi ludności wiejskiej. Wychodzący ze wsi pozostają w zasadzie przez dłuższy czas poza nawiasem życia miejskiego; adoptują wolno obyczaje i sposób życia ludności miejskiej, włącznie ze sprawami rozrodczości, w zasadzie utrzymując się na niższym poziomie w ośrodkach miejskich. Czynniki, które warunkują mniejszą rozrodczość mieszkańców miast, są elementy kulturalne, moralne i wynikające z wychowania, polegające na zmniejszonym pociągu do rozrodu ze strony kobiet, późniejszym rozpoczynaniu działalności rozrodczej i mniejszej płodności.

Rola, którą spełniają kobiety Ameryki Łacińskiej w dziedzinie działalności zarobkowej, wykazuje wielkie różnice w zależności od poszczególnych krajów i nawet w obrębie jednego i tego samego kraju działalność ta podlega zmianom w czasie, przy czym nie da się wyprowadzić w tej dziedzinie jakiegoś jasnego obrazu ewolucji i wskutek tego nie można brać pod uwagę tego czynnika jako zmniejszającego rozrodczość.

Na koniec nie wydaje się logiczne życie nadziei na to, że zasadniczy i nagły postęp w zakresie poziomu życia klas nie posiadających doprowadzi do zmniejszenia wysokiego wskaźnika rozrodczości w drodze ograniczenia liczby potomstwa, a to ze względu na pragnienie utrzymania lepszych warunków społecznych. Na razie można jedynie zaobserwować kontrolę urodzeń w niektórych grupach klas średnich, gdzie przykładają się większe znaczenie do jakości nie zaś liczby dzieci. Nic podobnego nie widzi się w klasie robotniczej z wyjątkiem pewnych warstw bardziej postępowych w tej klasie w określonych krajach na południu kontynentu. I wśród wielu trudności hamujących osiągnięcie wyższego poziomu życia grup gospodarczo słabszych uznaje się słusznie nadmierny wzrost ludności za rodzaj dramatycznego błędnego koła.

Z tych wszystkich względów nie wydaje się prawdopodobne, przynajmniej w najbliższej przyszłości, spontaniczne zmniejszenie nacisku populacyjnego w Ameryce Centralnej, na Antylach i w części tropikalnej Ameryki Południowej.

Należy zerwać jak najszybciej ze "związką milczenia" wokół zagadnienia demograficznego Ameryki Łacińskiej.

Kraje Ameryki Łacińskiej muszą się ustosunkować wyraźnie i przystosować politykę społeczno-gospodarczą do tego zagadnienia, zwrócić uwagę na wielorakie, złożone konsekwencje nadmiernego wzrostu ludności.

Nie jest sprawą szczególnie trudną wyjaśnienie strusiej polityki, prowadzonej rygorystycznie i przez tak długi okres czasu, jeżeli chodzi o to zagadnienie. Polityka ta była oparta na fałszywym założeniu, że region Ameryki Łacińskiej jest niedoludniony. Na zjawisko to wpływała również w dużym stopniu opinia publiczna Ameryki Łacińskiej, zgodnie z którą bogactwa naturalne kontynentu, roślinne i mineralne, są

niezmierzone. W szczególności twierdzi się powszechnie, że południowa część kontynentu może wyżywić nieporównywalnie więcej ludności, niż obecnie.

Podobne poglądy nie biorą pod uwagę odległości dzielącej abstrakcyjny szacunek od właściwej zdolności fizycznej i dokładnych badań stopnia osiągniętego rozwoju gospodarczego, co zakłada w sposób nieunikniony ograniczenie potencjału demograficznego.

Pewną rolę spełnia wreszcie w tej dziedzinie postawa moralna Amerykanów łacińskich przeciwna antyspołecznym praktykom maltuzjańskim. Opiera-

jąc się przy tym na rzekomych wskazaniach Kościoła popełniają niewybaczalny błąd, ponieważ Kościół występuje jedynie przeciw stosowaniu środków antykoncepcyjnych i przerywaniu ciąży nie ma zaś nic przeciw regulacji urodzeń w drodze wstrzemięźliwości. Stosunek Kościoła do zagadnień demograficznych wynika jasno z rozdziału "Przyrost demograficzny, a rozwój gospodarczy" encykliki: "Mater et Magistra".

Punkt widzenia, lekceważący związek pomiędzy ewolucją demograficzną, a ewolucją gospodarczo-społeczną doprowadza do pragmatycznych wniosków o charakterze sprzyjania rozrodczości, które to wnioski inspirowane świadomością lub nieświadomością całe ustawodawstwo Ameryki Łacińskiej.

(Dok. w nast. numerze).

STANISŁAW FISCHLOWITZ.

NA POGRANICZU BAJKI — NA POGRANICZU BAJKI — NA TAJEMNICE Z ŻYCIA WĘŻÓW

WYWOŁYWACZ WĘŻY

W odległości sześciu kilometrów od Campo Largo mieści się osiedle brazylijskie zwane Itaquí.

Przed wprowadzeniem republiki w r. 1889 handlowano tam z ożywieniem herwą. Dwie duże firmy: Domingos Cunha i Daniel Portella kopowały i przerabiały wszystką herwę produkowaną w okolicy, i wysyłały wozami do Antoniny. Ruch w wendach był wielki. Wentyny, kruzady, pataki i patakony przechodziły z rąk do rąk. Ponowała tak duża obfitość miedzianych wentynów o wartości 20 rej-sów, że wożono je w jukach mułów jucnych. Stąd też pieniądze nazywano potocznie miedzią — cobre, a w sąsiednich republikach dla mnogości srebrnych monet — srebrem — la plata.

W Itaquí mieszkało sporo zamożnych Brazylijczyków. Trudnili się uprawą roli, hodowlą bydła i produkcją herwy. Jeden z nich, tubylec z dziada pradziada, osiedlił się w pobliżu młyna Portelli. Czerpał dochód z pięciu krow dojnych, a miał w ogóle kilkanaście sztuk bydła.

Pewnego dnia najmłodsze dziecko, dziesięcioletni chłopiec, spędzając ciele-ta z pastwiska do obory, skaleczył się w stopę. Sądził, że nadepnął na cierń, gdyż nie zauważył pod nogami żadnego bisza. Zanim dotarł do domu noga spuchła okropnie. Ojciec umył mu ją i opatrzył ranek. Okazało się, że ucięła go nieduża żmija. Z dwóch punkcików powyżej kostki sączyła się kropelkami krew. Noga puchła coraz bardziej, a chłopiec wił się z bólu.

Posłano po znachora, który leczył ukąszenia żmij. Kiedy przybył krew płynęła już chłopcu nosem i uszami. Znachor, nie bardzo wierząc w wyleczenie, dał lekarstwo, zażegnał chorą nogę i odmówił modlitwę. Nie wiele to pomogło. Chłopiec umarł nazajutrz.

Rodzice byli bardzo przygnębieni. Krewni i znajomi pocieszali ich jak umieli, aż wreszcie ktoś podsunął myśl sprowadzenia z Colombo czarodzieja, posiadającego sztukę wywoływania węży. Czarodziej wywoła sprawcę nieszczęścia, który za karę zostanie zabity na oczach rodziców.

Myśl podobała się wszystkim, a najbardziej strapiionym rodzicom. Ojciec zmarłego osiadł natychmiast konia i ruszył do Colombo. Po długiej i męczącej podróży przybył wreszcie do owego

miasteczka i zanocował u znajomego rzeźnika, Guilherme Weigerta. Opowiedział co zaszło i w jakiej sprawie przyjechał.

Weigert był człowiekiem inteligentnym, protestantem, potrosze materialistą i ateuszem. Wierzył tylko w to co widział lub czego mógł dotknąć własną ręką. Nie miał zaufania do cudów czynionych przez znachorów.

Wiedząc, że czarodziej z Colombo cieszy się dużą sławą postanowił sprawdzić ile w tym prawdy. Przyłączył się więc do niego i do ojca zmarłego chłopca w chwili, gdy wyruszyli do Itaquí. W owych czasach ludzie mieli wiele czasu i nie spieszyli się nierozumnie tak jak teraz. Toteż prócz Weigerta zabrał się jeszcze jego brat Germano i dwóch obywateli z Colombo.

Na miejscu, w Itaquí, czarodziej zażądał, żeby go zaprowadzono na teren, gdzie żmija ukąsiła chłopca. Kazał oczyścić plac z chwastów i zarośli, a następnie zakreślił laską koło o średnicy mniej więcej dwóch metrów. Widzów ustawił w odpowiedniej odległości, kazał stać spokojnie i nie bać się węży. Kiedy zastosowano się do jego życzeń stanął pośrodku koła, zmówił modlitwę i zagwizdał trzy razy.

Wkrótce zaczęły się pojawiać węże. Najpierw ukazały się dwie żararaki i jedna wielka żararakusa. Pelzły do koła nakreślonego przez czarodzieja, a kiedy zbliżyły się do jego granicy zatrzymały się i położyły łby przy kresce. Po wszystkich nadsięgnęła mała żararaka o białym ogonie rabo branco. Ta pelzła bardzo leniwie i niechętnie. Gdy doszła do koła przesunęła się jeszcze powolniej przez kreskę i stanęła u stóp czarodzieja. Kazał jej wówczas przechylić łeb na bok. Zrobiła to natychmiast.

Czarodziej odmówił modlitwę i gwizdnał. Natychmiast wszystkie żmije pomknęły do lasu. Została tylko jararaca de rabo branco. Czarodziej kazał ją zabić ojcu zmarłego chłopca jako winną śmierci jego syna.

Ludzie, którzy na to patrzyli, nie mogli się nadziwić. Weigert ile razy opowiadał to zdarzenie, a opowiadał często, mówił, że od owego czasu zaczął bardziej wierzyć w cuda, niż katolicy.

PINIOR

Superzbiornikowce z królewskich warsztatów budowy korwet

Pierwsza większa stocznia morska o charakterze już przemysłowym powstała w Gdańsku w roku 1844 i nosiła nazwę Królewskich Warsztatów Budowy Korwet. W 101 lat później, gdy Gdańsk wrócił do Macierzy, stocznia przejęła państwo. Dzisiaj jest ona największą polską stocznia, a zarazem największą chlubą polskiego przemysłu stocznioowego.

Ale zanim do tego doszło... Kto w roku 1945, kiedy Gdańsk, miejscowe stocznie oraz 1480 fabryk i zakładów przemysłowych Ziemi Gdańskiej leżało w gruzach, kto wtedy mógł przypuszczać, że w 15 lat później Stocznia Gdańska wysunie się na 5 miejsce w tabeli największych światowych stocznii morskich, a w siedemnastym roku po wojnie pretendować będzie do pierwszego miejsca!

W 1922 r., tj. w okresie swojego najświetniejszego rozwoju przed powrotem Gdańska do Macierzy — stocznia zatrudniała 5500 osób i wyprodukowała 40 tys. BRT. Bezpośrednio po wojnie wykonywać mogła tylko drobne remonty statków. Hale i pochylnie, gdzie przed wojną i w czasie wojny Niemcy budowali łodzie podwodne, które na morzach i oceanach zadawały tyle strat koalicji antyhitlerowskiej, ziały teraz zniszczeniem i pustką. Trzeba było 3 lat wyjątkowej pracy, by przywrócić stoczni ograniczoną zdolność produkcyjną. Jakież to było święto, gdy 6 listopada 1948 roku z pochylni spłynął na wodę pierwszy polski statek pełnomorski s/s "Soldek" — 2540 TDW S/S "Soldek" był pierwszym z serii 6 statków tego typu, przekazanych do eksploatacji w latach 1949 - 1950.

Następnie rozpoczęto budowę długiej serii 89 trawlerów rybackich 450 TDW, przeznaczonych zarówno dla armatorów krajowych, jak i zagranicznych. W roku 1950 na zamówienie Polskich Linii Oceanicznych Stocznia Gdańska przystąpiła do budowy pięciu drobnicowców motorowych, popularnych "Lewantów", a następnie długiej serii trampów parowych o nośności 5 tys. TDW. Budowa statków tej serii była już poważnie zmodernizowana; z metody nitowanej stocznia coraz szerzej przechodziła na metodę spawania, co z kolei umożliwiło rozwinięcie systemu prefabrykowania całych sekcji o ciężarze do 35 ton!

Poszczególne wydziały Stoczni Gdańskiej specjalizowały się w budowie określonych typów statków. Na wyspie Ostrowy powstał specjalistyczny zakład budowy trawlerów - przetwórci o nośności 1250 TDW. Kadłuby tych statków woda się systemem bocznym na nowych, specjalnie do tego zbudowanych pochylniach. Zakład "A" stoczni otrzymał nową pochylnię, która umożliwia wodowanie statków o nośności 25 tys. TDW. Nowe hale i warsztaty, własna elektrownia, magazyny, biura konstrukcyjne — oto rezultat poważnych inwestycji w latach 1948 - 1952.

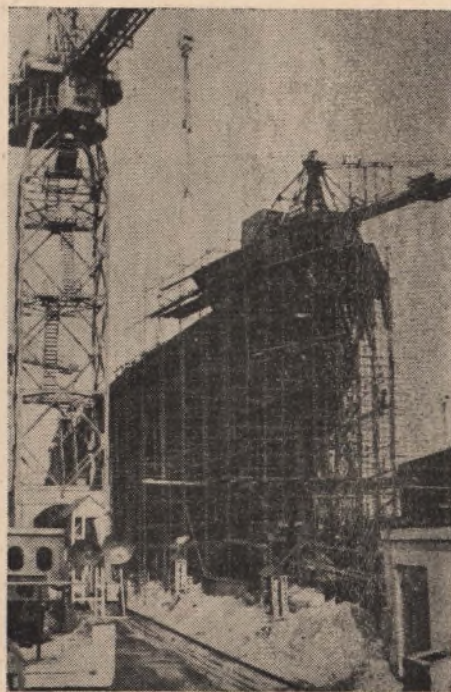
Rok 1952 odegrał przełomową rolę w historii polskiego przemysłu okrętowego, a szczególnie Stoczni Gdańskiej. Od tego czasu ich produkcja nabrała wszystkich cech wielkoprzemysłowych. Jeżeli np. w roku 1951 Stocznia Gdańska zbudowała i przekazała do eksploatacji 4 statki o 4390 TDW, to już w rok później oddała ich 19 o łącznej nośności 37930

TDW. Rok 1953 zamknęło bilansem 53600 TDW.

Wzrost tonażu wodowanego szedł w parze ze stałym wzrostem wielkości budowanych statków. 31 stycznia 1955 r. w Stoczni Gdańskiej położono stępkę pod polski "dziesięcioletnik" — pierwszy z długiej serii tego typu motorowców. Początkowo budowano je wyłącznie na zamówienie Polskich Linii Oceanicznych w Gdyni, później zaś także dla odbiorców zagranicznych.

Publikowane w wielu światowych pismach fachowych oceny sfer żegludowych uznały wysokie walory jakościowe polskich "dziesięcioletników" i stwierdziły, że nie ustępują one ani pod względem konstrukcyjnym, ani pod względem wykonania statkom tej klasy budowanym w renomowanych stoczniach krajów zachodnich. Poszczególne jednostki tej serii przystosowano do wymagań armatora związanych z potrzebami i warunkami linii, na które miały wejść "dziesięcioletniki" made in Gdańsk.

W roku 1959 rozpoczęto seryjną budowę dużych zbiornikowców 19 tys. TDW. Są to największe statki dotychczas produkowane w Polsce. Pierwszy "dziewiętnastoletnik" otrzymał na chrzcie imię słynnego polskiego matematyka, zmarłego przed kilku laty profesora zwyyczajnego Politechniki Gdańskiej — Maksymiliana Tytusa Huberta. M/ "Professor Hubert", który spłynął na wodę 18 czerwca 1960 roku, był 285 statkiem wodowanym po wojnie w Stoczni Gdańskiej. Jego długość całkowita wynosiła 177 m, a szerokość 22 metry. Statek wyposażono w polskiej produkcji silnik okrętowy (Zakłady H. Cegielskiego w Poznaniu) o mocy 7.800 KM. Statek będzie rozwijał szybkość 16 węzłów przy zasięgu 16 tys. mil morskich. Na statki



Budowa statku do przewozu drewna na pochylni Stoczni Gdańskiej.

tego typu Polska otrzymała już zamówienia zagraniczne.

W roku 1960 Stocznia Gdańska zanotowała nowy sukces: tego roku zbudowano statki o łącznym tonażu 173 tys. BRT. Tym samym stocznia uplasowała się na piątym miejscu w tabeli Lloyd's Register of Shipping. Nie mniejszym osiągnięciem Stoczni Gdańskiej było i to, że aż 80% swej produkcji zdołała sprzedać za granicę.

Potencjał produkcyjny Stoczni Gdańskiej rozbudowuje się w dalszym ciągu. Dzięki temu stocznia będzie mogła w ciągu najbliższych 5 lat zbudować ogółem 155 statków o nośności 1114 tys. TDW. Program to rzeczywiście imponujący, zwłaszcza jeżeli zważymy, że przemysł okrętowy w Polsce narodził się dopiero po wojnie, ledwo więc wyszedł z okresu niemowlęstwa. Tak samo zresztą, jak i budowniczowie polskich statków.

Przed wojną kraj nie miał ani przemysłu stocznioowego, ani tym bardziej doświadczonych stocznioowców. Jeszcze w roku 1949, kiedy to zbudowano w Gdańsku pamiętny rudowęglowiec s/s "Soldek", na 4 tys. pracowników Stoczni Gdańskiej przypadało tylko 29 inżynierów i 110 techników-metalurgów!

Dzisiaj Stocznia zatrudnia 400 inżynierów i 700 techników, z tego — i to jest właśnie najbardziej zdumiewające — tylko 9 inżynierów i 14 techników ma dyplomy przedwojenne! Reszta — to wojenni wychowankowie wyższych i średnich uczelni technicznych oraz szkół zawodowych. Polskie statki buduje więc po prostu młodzież.

Kuźnią kadr dla polskich stocznii jest Politechnika Gdańska — zarówno jej Wydział Budowy Okrętów, jak i inne wydziały specjalistyczne związane z mechaniką stocznii; dalej: słynne gdańskie "Conradinum", czyli Technikum Budowy Okrętów w Gdańsku-Wrzeszczu, Zasadnicza Szkoła Budowy Okrętów i dziesiątki innych szkół podstawowych - zawodowych i średnich. U młodzieży obserwuje się wielki pęd do nauki.

Stocznia zorganizowała własną Szkołę Mistrzów o dwóch kierunkach specjalizacji: budowy kadłuba i wyposażenia statku. Ilu jest uczniów? W roku 1960 chodziło na wykłady 135 robotników. W 1961 r. zgłoszeń było tak dużo, że musiano wprowadzić wstępny egzamin konkursowy, zabrakłoby bowiem miejsc w salach wykładowych.

Rozmawiałem niedawno z konsulem Brazylii w Gdyni. Opowiadał mi ze zdziwieniem następujący fakt. Brazylija zamówiła w Stoczni Gdańskiej serię statków-drobnicowców i w przyszłości zamierza nadal lokować zamówienia w polskich stoczniach. W związku z tym Konsulat Brazylii postanowił zorganizować w Stoczni Gdańskiej kurs języka portugalskiego, aby przedstawiciele armatora mogli łatwiej porozumiewać się z pracownikami stoczni. Na kurs zapisało się 200 robotników i inżynierów. Konsul spodziewał się 20, no — może 30, ale wobec tak dużej liczby zgłoszeń musiał zaangażować drugiego wykładowcę.

Znakiem fabrycznym Stoczni Gdańskiej, znanym już dziś na wszystkich morzach i oceanach, jest stylizowany herb

Polska w statystyce światowej

S p ę d ź Boże Narodzenie w Kraju!

Aby dać przybliżony obraz roli i pozycji jaką zajmuje Polska w światowej rodzinie narodów i państw, podajemy niektóre cyfry według "Małego Rocznika Statystycznego" z 1962 r. oraz ważniejsze dane liczbowe z dziedziny statystyki międzynarodowej dotyczące tych dziedzin życia, które decydują o pozycji i autorytecie każdego kraju.

Licząc powierzchnię 312.000 klm kw. zajmuje Polska na mapie świata niezbyt duży obszar, około 0,2% ładu kuli ziemskiej. Ludność jej stanowiła z końcem 1961 roku 30.132.000, co razem z rodakami zamieszkającymi poza granicami państwa stanowi 1% ludności całego globu.

Produkcja przemysłowa Polski w 1962 roku wynosiła około 2% produkcji światowej. O rozwoju ekonomicznym państwa świadczy jednak nie tylko wysokość produkcji lecz także jej struktura. W produkcji energii elektrycznej z 29,3 mld KWh i udziałem 1,3% zajęła Polska 13 miejsce, ale już w światowej produkcji węgla kamiennego udział jej wynosi 5,2% i Polska zajmuje tu 6 miejsce, a pod względem wydobycia węgla na głowę ludności, 2 miejsce w świecie. W produkcji cynku Polska zajmuje 6 miejsce, w stali — 10; w produkcji samochodów ciężarowych — 9 miejsce, w przemyśle taboru kolejowego — 5 miejsce, w przemyśle okrętowym — 10, w przemyśle cukrowniczym — 6. Dobrze miejsce przypada Polsce na światowej liście surowców i półfabrykatów. I tak w produkcji cementu — 10 miejsce, surowki żelaza (1,8% udziału w produkcji światowej) — 10 miejsce. W produkcji przędzy bawełnianej (5,2% udziału w produkcji światowej) — 11 miejsce, natomiast w przędzy wełnianej (2% udziału w produkcji światowej) — 7 miejsce.

Jeżeli chodzi o wyniki produkcji rolnej w Polsce, to w ciągu ostatnich 3 lat mimo niepomyślnych warunków atmosferycznych są one około 4-krotnie lepsze od przeciętnych wyników światowych. Tak np. w stosunku do okresu przedwojennego uzyskano w Polsce, zwłaszcza na gospodarstwach prywatnych, po-

nad dwukrotny wzrost produkcji rolnej na jednego mieszkańca rolnika. W zbiorach żyta, lnu i ziemniaków zajmuje Polska 2 miejsce w przeliczeniu na głowę mieszkańca. O ile chodzi o produkcję zbóż to wynosi ona w Polsce ponad 3% całej produkcji światowej. W hodowli trzody chlewnej zajmuje Polska 6 miejsce, a w hodowli bydła — 10 miejsce w świecie.

W 1962 roku gospodarstwa indywidualne zajmowały w Polsce (w tysiącach hektarów) 17.552,5 ha, spółdzielcze i zespołowe 323,8, gospodarstwa państwowe 2.445,1. Jak z tego wynika własność prywatna przewyższała 9-krotnie gospodarstwa państwowe i spółdzielcze łącznie.

O ile korzystnie przedstawiają się dla Polski wskaźniki produkcji przemysłowej i rolnej w porównaniu ze światowymi o tyle mniej korzystnie kształtuje się udział Polski w światowych obrotach handlowych. I tak w 1961 r. eksport Polski stanowił niecały 1% eksportu światowego, a import 1,1%.

Import Polski w milionach dolarów wyniósł 1.495 podczas gdy eksport — 1.326

Dla porównania import brazylijski w tym samym okresie, wyniósł 1.416 a eksport — 1.269 milionów dolarów.

W zakresie oświaty, kultury i sportu, wkład Polski jest wysoki i poważny. Na 10.000 mieszkańców przypada 60 studentów wyższych uczelni, co stawia Polskę na 7 miejscu. Jeżeli chodzi o teatr, to na 100.000 mieszkańców przypada jeden teatr. Pod tym względem Polska zajmuje drugie miejsce w świecie. W zakresie ilości nakładów pism codziennych w stosunku do mieszkańców Polska zajmuje 14 miejsce. Poważne wyniki przypadają również Polsce na polu sportowym. Do Polaków należy 14 rekordów świata a w wykazie największych asów sportowych świata Polska zajmuje 8 miejsce. Jak z tego wynika, wkład Polski w tworzenie ogólnoludzkiego dorobku kulturalnego jest wysoki i poważny.

"Przegląd Polski" wspólnie z Biurem Podróży Passatours S. A. urządza w tym roku wielką wycieczkę do Kraju w okresie zimowym. Naprawdę dobrze, z pożytkiem i przyjemnością zwiedzisz Kraj tylko w zimie, kiedy otwarte są wszystkie teatry i sale koncertowe, kiedy kwitnie życie kulturalne. Turysta, spragniony śniegu i sportów zimowych, może tanim kosztem zaspokoić swoje pragnienia — tanim, ponieważ wycieczka zimowa jest o połowę tańsza, niż w lecie. Pobyt w Kraju w czasie Narodzenia Pańskiego dostarcza niezapomnianych wrażeń. Skorzystaj z tej jedynej być może okazji i jedź!

Warunki finansowe: Całkowity koszt wycieczki dol. 995 - liczony wg kursu taryfy morskiej w dniu zapisu na wycieczkę. 20 proc. należności wpłaca się w dniu zapisu, 15 proc. do dn. 15 października, 30 proc. najpóźniej na 10 dni przed odjazdem, 35 proc. w 4 ratach miesięcznych z ustawowymi odsetkami bankowymi. Należność przekazuje się do kasy Passatours Viagens e Cambio, Rio de Janeiro, pr. Pio X,78 lub São Paulo, av. São Luiz, 100. Zapisy przyjmuje Administracja "Przeglądu Polskiego".

Superzbiornikowce...

Dok. ze str. 25

Gdańska połączony z symbolami stocznicowców: kotwicą i kołem zębatym. Herb Gdańska — to dwa czerwone krzyże maltańskie uwieńczone złotą koroną. Korona znajduje się w herbie Gdańska od roku 1454, a nadał ją miastu Kazimierz Jagiellończyk w akcie inkorporacji Ziemi Gdańskiej do Korony Polskiej. Zmienne były wprawdzie późniejsze koleje losu starego miasta nad Motławą, ale przez wszystkie burze przetrwała nie tylko korona w herbie. Przetrwała przede wszystkim polskość Gdańska, którą dzisiaj statki o pięknej sylwetce manifestują po całym świecie.

S. BILIŃSKI.

STANISŁAW K. SZWENTNER



Ruch uliczny na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i ulicy Kruczej w Warszawie.



Przedwiośnie w Bieszczadach.

Przegląd ważniejszych wydarzeń

"Zima stulecia" wstępowała w tym roku powoli miejsca wiosnie. Jeszcze w pierwszej dekadzie kwietnia w nocy notowano w Polsce poniżej ośmiu do dziesięciu stopni. Nigdy rolnicy nie wychodzili tak późno w pole. Nocne przymrozki długo hamowały obsychanie pól z nadmiaru wilgoci pozostawionej przez obfite opady śnieżne. Dzięki jednak tym przymrozkom tegoroczne powódzie wiosenne nie przybrały katastrofalnych rozmiarów. Mimo to w niektórych okolicach, zwłaszcza zaś na terenach Wisły i Bugu, powódzie dały się we znaki ludności przybrzeżnej.

Oto co o tym mówi reporter "Życia Warszawskiego" K. Szyndzielorz:

"Wierzchołki drzew owocowych i wierzby nad wodą. Woda sięga jeszcze połowy wysokości okien. Łodu nabierało się na podwórzu ze dwa i pół metra. W tym właśnie miejscu powstało zawrócenie rzeki w jej nowym korycie — zostawiła więc na podwórzu co miała. Zerwany gdzieś komin, dach stodoły, psia bude, kosz. Wszystko to zamarzło w lodową barykadę. Nie daj Boże, aby przyszła teraz wielka woda. Zniesie ona wraz z lodem dwa domki, mурowany chlew i stodołę. Ale jedynie w wielkiej wodzie nadzieja na to, że lód w ogóle zniknie. W izbach woda. Szafa, położona na płask na stole uratowała się.

Łódka, jakże kruchą i małą wobec naszych transporterów i czołgu, płyną skądś w naszą stronę trzej mężczyźni. Są to gospodarze tych domów, przy których stoją. Nurt, silny i zmienny, o mały włos byłby ich wyrzucił. Dotarli jednak do nas, do swoich domów. Nic nie mówią, stoją, patrzą. Najmłodszy z nich, powiada po chwili:

— A co będzie z tegorocznymi zbiorami. Na pola wrócimy dopiero na Jana, w czerwcu. A ile piachu naniósł.

Na wałach wiślanych, przerwanych w kilku miejscach, spotykamy patrol milicji. Zmarznięci pilnują domostw przed rabusiami.

— Woda przyszła tak nagle, że nie zdążyłem nawet zabrać 300 złotych, które zostały w kuchni, schowane w blaszanej puszcze — mówi nam w Maciejowicach 75-letni gospodarz. — Wróciłem nazajutrz po ewakuacji, dałem nura w wodę, były. Pieniądże włożyłem pod koszulę. Po kilku godzinach były suche. A czy będę mógł odzyskać moje 2 tys. z książeczki? Książeczki nie mam, utopiła się.

Miejscowa nauczycielka opowiada o zaskoczeniu. Z szoku, zdenerwowania zaczął się na strychu jednego z gospodarstw poród. Był przedwczesny. Wzywano lekarza. Helikopter nie mógł wylądować na ciasnym podwórku. Na linie więc spuszczone na dach domu miejscowego lekarza. Lekarz jest chory na serce. Emocje tej podróży nie wyszły mu na zdrowie. Pomógł rodzącej, i razem zawieziono ich do szpitala".

Rok zapowiada się źle. Zgodnie to twierdzą sfery rządowe, prasa i szary obywatel. Sroga zima zaciążyła nad rozwojem gospodarczym Polski. Zakłada się obecnie przejściowe zwolnienie tempa wzrostu produkcji przemysłowej i pewien spadek produkcji zwierzęcej. Niekorzystne warunki atmosferyczne, utrudniające prawidłowe funkcjonowanie transportu, pociągnęły za sobą spadek zaopatrzenia w paliwa, surowce i materiały, a co za tym idzie zmniejszenie produkcji. Zmniejszono poważnie produkcję wytworów wymagających dużej ilości węgla lub energii jak np. cementu, aluminium i karbidu. Największe straty poniósł przemysł materiałów budowlanych, chemiczny i hutniczy oraz przemysł stoczniowy. W przemyśle stoczniowym np. skutek silnych mrozów ustąpiła w

ciągu 3 miesięcy wszelka praca na pochylniach.

Część opóźnień powstałych na początku roku nie będzie możliwa do odrobienia. Dotyczy to zwłaszcza tych rodzajów produkcji, której rozmiary są limitowane przez określoną wydajność aparatury i urządzeń bądź przez realne możliwości zaopatrzenia w paliwo, energię lub surowce. Pomyślniejsze są na-

LISTY Z POLSKI

Postanowiłam ten pierwszy swój list poświęcić sprawom polskim od podszewki, t. j. temu o czym się wiele mówi w kraju, ale o czym opinia zagraniczna słabo jest poinformowana. Mam tu na myśli zagadnienie obyczajowości.

Zacznę może od chuligaństwa. Jest to zjawisko specyficzne, które w okresie powojennym nabrało szczególnego znaczenia. Ostatnio coraz częściej się słyszy o obrzucaniu pociągów kamieniami. W tej ponurej zabawie biorą udział przeważnie młodociani. Tak np. według wrywkowej analizy przeprowadzonej w sześciu województwach w okresie dwóch miesięcy zanotowano 48 wypadków obrzucenia pociągów kamieniami; ujęto 52 sprawców — 50 spośród nich byli to młodociani.

Chuligan popełniając przestępstwo nie ma na myśli celów rabunkowych. Znieważa, wymyśla, bije, niszczy dla przyjemności t. j. dla samej rozróbki.

Niedawno np. wieczorem na ul. Puławskiej w Warszawie szło, a raczej toczyło się wesołe towarzystwo składające się z pięciu mężczyzn i dwóch kobiet. Wszyscy mieli na sobie zielone koszule i czarne spodnie.

Nagle jedna z kobiet zaczęła przechodnia uderzać go w twarz. Inny człowiek bandy wyjął nóż i zaczął biegać po ulicy szukając ofiary. Widząc to kierowcy na postój taksówek nacisnęli klaksony. Ludzie uciekali do bram i tylko jeden młody, 23-letni mężczyzna, nie zorientował się co się dzieje. Zanim zdolał spostrzec niebezpieczeństwo został ugodzony nożem w serce. Morderca rzucił się w boczną ulicę, zakrwawiony nóż cisnął do ogródka. Banda rozprzerzła się.

W kilka dni potem milicja schwytała całą szajkę. Okazało się, że członkowie bandy mieli po 20 - 24 lata, tylko morderca 17 lat.

Ze statystyki dochodzeń w sprawach karnych wynika, że liczba wybrzków chuligańskich ostatnio nieco wzrosła. Milicja twierdzi, że przyczyną narastania chuligaństwa jest przede wszystkim nie przestrzeganie przepisów przeciwalkoholowych. Liczba osób zatrzymywanych w stanie nietrzeźwym jest wciąż ogromna. W lokalach podaje się alkohol nieletnim i pijanym. W dniach, w których obowiązuje zakaz sprzedaży alkoholu sprzedaje się go w sklepach po kryjomu.

Myślę, że zawił tu system wychowania młodzieży. Za dużo daje się jej swobody, za mało kontroluje co robi. Zresztą rozluźnienie obyczajów nie jest jakimś wyjątkowym przywilejem młodzieży. Dużo by się tu dało powiedzieć również o dorosłych.

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie podać artykułu "Nowoczesne małżeństwo", pióra Danuty Kaczyńskiej. Artykuł ten odnalazłam w "Życiu Warszawskim" i wiernie odpisuję:

tomiast widoki w rolnictwie, gdyż większość ozimin przetrwała zimę w dobrym stanie.

Jak donosi "Życie Gospodarcze" straty produkcyjne jedynie głównych sześciu resortów produkcyjnych, powstałe wskutek ostrej zimy, szacuje się na 3,6 mld zł.

Do strat nieodwracalnych należą straty w drzewostanie. Przemarły drzewa owocowe, w szczególności szlachetne gatunki grusz, jabłoni i śliw, orzechy włoskie, a z drzew ozdobnych stanowiących stały składnik krajobrazu polskiego — wiele kasztanów.

(as)

"Prokurator oskarża go o usiłowanie zabójstwa. Ofiarą miała być żona. Sąd Wojewódzki rozpozna tę sprawę, zawyrokuje o winie i karze. Historia małżeństwa dwojga młodych ludzi zakończy się na sali sądowej.

Chociaż w aktach sądowych najwięcej miejsca zostało poświęcone ostatniej scenie między małżonkami, opisom ostatniej rozprawy zakończonej pobiciem żony przy pomocy żelazka elektrycznego, w całej historii najbardziej charakterystyczne jest tło sprawy, klimat w jakim żyła ta para.

Pobrali się w 1957 r. Ona miała lat 19, on — 26. Był doświadczalnym skoczkiem spadochronowym, zarabiał — jak sam mówi — przeszło 20 tys. zł. miesięcznie. Miał pieniądze, powodzenie u kobiet i fantazję. Chciał zawsze imponować otoczeniu — mówią jego koledzy. Pozował na nowoczesność, więc już w czasie uczył weselnej zniknął na jakiś czas z pewną panią. — Nikt nie miał wątpliwości — zeznają goście weselni — w jakim celu poszedł z tą panią na strych

Wobec tego młoda meżatka postanowiła być równie "nowoczesna". Już w rok po ślubie — skarży się mąż — znalazła sobie przyjaciela. Od tej pory, jak wynika z akt sprawy, co i rusz: raz on ją znajduje w łóżku z innym, raz ona jego — z inną. Jest jakaś rozmowa, postanawiają zmienić tryb życia. Rodzi się dziecko.

Ale szybko zaczynają się znowu rozdziewki. On dostaje pracę mniej intratną, zaczyna coraz więcej pić; ona ma znowu przyjaciela, wraca do domu coraz później. Dziecko poniewiera się między nimi, nikt nie ma czasu zająć się małą. Wreszcie żona wyprowadza się z dzieckiem do matki, zaczyna pracować. W tym czasie — twierdzą sąsiadki — w mieszkaniu dzieją się orgie, nocami słychać krzyki (gwałconych — jak podejrzewają te sąsiadki) dziewcząt. Raz nawet sąsiedzi telefonują po milicję, ale interwencja nie nadchodzi.

Po kilku miesiącach żona wraca do domu. — Nie chciałam stracić mieszkania — powiada. Więc mieszkają znowu we dwoje (dziecko jest u matki). O rozwodzie nie ma mowy, ustalają natomiast szczegółowy "rozkład jazdy". Tak aby sobie nie przeszkadzać, aby mąż nie spotykał się z kochankiem. Tak jak sobie wyobrażają "nowoczesne małżeństwo".

A potem jest ta rozmowa zakończona pobiciem przy pomocy żelazka elektrycznego. Mąż ucieka i ukrywa się przez rok, zanim listami gończymi nie zostaje ujęty.

Nie mam zamiaru uogólniać, twierdzić, że wiele jest takich "nowoczesnych małżeństw" wśród młodych ludzi. Ciągłe zbyt mało wiemy o młodych małżeństwach. Gdyby nie scena z żelazkiem his-

Podziemne muzeum

PANIE REDAKTORZE!

Zapewne zna Pan to pytanie: "Gdzie leży Kraków?" I odpowiedź: "Koło Nowej Huty". Tak mówi się dziś, ale w końcu ubiegłego wieku Anglicy w podręczniku szkolnym do lekcji geografii pisali, że "Kraków, dawne miasto koronacyjne królów polskich leży koło Wieliczki". Nic w tym dziwnego, jeśli się zważy, że Wieliczka już w schyłku XVIII wieku stała się popularnym obiektem turystycznym i to na skalę światową. Przyczyna tego też prosta — słynne żupy solne, o których francuski podróżnik i heraldyk Le Laboureur pisał: "Żupy solne Wieliczki nie mniej są znakomite jak piramidy egipskie, lecz użyteczniejsze. Są one chwalebna pamiątką pracowitości Polaków, gdy tamte świadectwem tyranii i próżności Egipcjan". — Niestety, kurczy się powoli podziemna trasa turystyczna, ponieważ wskutek wojennych zaniedbań wałą się atrakcyjne komory.

Tym bardziej słowa pełnego uznania należą się panu Alfonsowi Długoszowi — obecnemu kustoszowi i organizatorowi jedynego na całym świecie podziemnego muzeum. Do zorganizowania tego muzeum przystąpił on w roku 1950 wspólnie ze starym doświadczonym górnikiem Franciszkiem Krzeczkwoskim, który zna kopalnię niczym własny dom. Razem, przemierzając stare chodniki, komory, cały olbrzymi labirynt kopalni wyciągali ze zwałisk, czelusci, prawiecznych zrębów porzucone i zapomniane narzędzia pracy, dziwaczne maszyny i urządzenia pochodzące sprzed wieków, skały i sole, skamieliny i kryształy. Skarby te stanowiące świadectwo wielowiekowego trudu górniczego dokumentują tysiącletnią historię ludzi pracujących pod ziemią.

Muzeum posiada trzy działy: geologii złóż soli, dział dawnych narzędzi i urządzeń górniczych oraz dział historii żup krakowskich i miasta górniczego Wieliczki.

W dziale geologii złóż pan Alfons Długosz zgromadził kompletny zbiór mineralogiczny skał solnych i innych występujących razem z solą. Ozdobą tego działu są przepiękne okazy kryształów, narostów, stalaktytów i stalagmitów solnych. Całość uzupełniają zbiory szczątków kopalnych flory i fauny z okresu miocenu (20-25 milionów lat) archiwalne mapy i przekroje geologiczne złóż solnych.

W dziale dawnych urządzeń zobrażony jest rozwój techniki górnictwa solnego począwszy od feudalizmu, aż do chwili obecnej. Oglądać tu można najważniejsze maszyny górnicze, takie jak kołowroty pompy, szlaki zjazdowe do przewozu ludzi i koni itd. itd. Zasady działania każdego z eksponatów ilustrują rysunki.

Ostatni z działów, dział historyczny obejmuje ciekawe, zabytkowe dokumenty, mapy, ryciny i przedmioty pamiątkowe z dawnych czasów, m. in. złożone, wybite pluszem wózki, którymi w dawnych czasach wożono w kopalni turystów.

W podziemiach kopalni czynne jest również jedyne w Polsce podziemne sanatorium. Przebywają tu parę godzin dziennie ludzie cierpiący na schorzenia dróg oddechowych, bowiem powietrze w kopalni ma uzdrawiające działanie, a poza tym solanki wieliczkie znane były ze swych własności leczniczych jeszcze w połowie ubiegłego wieku.

Już dziś myśli się poważnie o wykorzystaniu Wieliczki jako stacji leczniczo-

klimatycznej, tym bardziej, że Wieliczka znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie centrum przemysłowego — Nowej Huty.

Nie wnikając w to, czy władze centralne i władze województwa krakowskiego przywrócą Wieliczkę sławę źródła — kąpieliska, fakt jeden jest już dziś bezsporny: Wieliczka jest atrakcją światową. Odwiedzają ją codziennie tysiące turystów nie tylko z Polski, ale z różnych zakątków globu ziemskiego. 300 tys. osób rocznie odwiedzających żupy solne zapoznaje się na miejscu z jednym z najstarszych pomników polskiej kultury materialnej.

KAROL STRUG

"P. P." informuje:

Sukces polskiej medycyny. Rzedki wypadek przywrócenia do życia po 4,5 min. śmierci klinicznej zanotowano w szpitalu genokologicznym w Siemianowicach Śląskich. 27-letnia Barbara U. z Bielska miała być poddana niegroźnej operacji. W chwilę po rozpoczęciu narkozy tlenowo-eterowej serce pacjentki nieoczekiwanie przestało pracować. Natychmiastowa próba ratowania życia pacjentki przez dosercowy zastrzyk adrenaliny nie przyniosła rezultatu. W tej sytuacji dr. Antoni Bońkowski podjął decyzję otwarcia klatki piersiowej i ożywienia serca. Od momentu, gdy serce przestało pracować, do chwili rozpoczęcia masażu upłynęły 3 minuty 55 sekund. Po 36 sekundach masażu serce zaczęło bić ponownie. Pacjentka wróciła do życia. Wszystkie objawy psychiczne i neurologiczne związane ze śmiercią kliniczną ustąpiły. Po 10 dniach stan pacjentki był na tyle dobry, że można było przeprowadzić operację ginekologiczną.

Poznańskie Słowiki u prez. Kennedy'ego. "Poznańskie Słowiki" odbywające tournée artystyczne po Stanach Zjednoczonych chór chłopięcy pod dyrekcją prof. Stuligrosza, zaproszone zostały przez prezydenta Kennedy'ego do Białego Domu. Prezydent wyraził zadowolenie z przyjazdu zespołu do USA, podkreślił wielowiekowe tradycje kulturalne Polski. Na prośbę prezydenta chór odśpiewał cztery piosenki. Chłopcy, z którymi Kennedy wymienił następnie "męski" uścisk dłoni, wręczyli mu płytę z nagraniami swych piosenek, książeczkę z historią chóru oraz płaskorzeźbę z brązu przedstawiającą Henryka Wieniawskiego. Prezydent USA wpisał się do złotej księgi pamiątkowej chóru. Spotkanie utrwalone zostało na taśmie przez trzy największe stacje telewizyjne i radiowe — CBS, NBC i ABC — które nadały je następnie w swych audycjach.

Koncert katarzynek. W Łodzi odbył się niecodzienny koncert starych katarzynek. Niemalą atrakcją imprezy, która zgromadziła licznych widzów była obecność Nikodema Bassi, wnuka powstańca z 1863 r., słynnego niegdyś producenta katarzynek. Józef Świątkowski otrzymał gorące brawa za melodie wygrywane na rękach. Ewa Wójcik śpiewała popularną w Łodzi międzywojennej "Fabryczną dziewczynę" a Eugeniusz Szczepaniak "Rogowską polkę".

Największy w Polsce teleskop astronomiczny. W specjalnej kopule obrotowej w obserwatorium Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Piwnicach pod Toruniem oddano ostatnio do użytku największy w Polsce teleskop astronomiczny, dzieło słynnej firmy Zeiss w Jenie. Nowy teleskop ma lustro sferyczne o średnicy 90 cm i płytę korekcyjną o średnicy 60 cm.

EWA W LONDYNIE

Zanim Ewa Krzyżewska przedzierzgnie się za parę minut w Ofelię (aktorka występuje w jej roli na scenie stołecznej Teatru Dramatycznego sekundując Holoubkowi jako Hamletowi), udaje się nam ją osiągnąć w garderobie w jej "współczesnej" postaci. A współczesność to aktualność. Wypada więc nawiązać do ostatniej krótkiej, rzecz można "odrzutowej" podróży aktorki do Londynu (p. Ewa przebywała nad Tamizą niespełna dwie doby).

— Zostałam zaproszona — mówi Ewa Krzyżewska — do wzięcia udziału w tradycyjnym pokazie filmowym z udziałem królowej-matki, księżniczki Małgorzaty i księżniczki Aleksandry. Ta doroczna impreza ma cel filantropijny: dochód z niej przeznaczony jest dla emerytów — filmowców.

— Była pani bodaj pierwszą aktorką filmową z kraju socjalistycznego, która uczestniczyła w tej imprezie?

— Tak. Fakt ten wywołał zresztą duże zainteresowanie wokół mojej osoby. Przekonałam się o tym już na londyńskim lotnisku: istna feria fleszów! Dla fotoreporterów byłam zgoła egzotycznym przybyszem. W równym stopniu — dodaje p. Ewa — co czekoladowy afrykański aktor filmowy w barwnym pasiastym stroju regionalnym, w którym wystąpił zresztą na galowym pokazie filmowym.

— Nie byłabym kobietą, gdybym nie spytała w jakiej wystąpiła pani kreacji?

— W ciemnej sukni z aksamitu. Oczywiście długiej i bez dekoltu — zgodnie z protokołem obowiązującym przy prezentacji członkom rodziny królewskiej.

— A sama ceremonia prezentacji?

— Poprzedziła ją kilkudziesięciominutowa nauka ukłonu pod kierunkiem wytrawnego "instruktora". Uroczysty pokłon, który należało złożyć przed królową i księżniczkami, przypominał ukłon, jaki składają przed publicznością aktorzy "Komedii Francuskiej".

Gdy skłoniłam się przed królową-matką, a następnie przed księżniczką Małgorzatą — obie na dźwięk słowa "Polska" (przy prezentacji wymawiano narodowość aktorów), wydawały się być mile zdziwione a królowa spytała nawet czy na galową premierę przyjechałam specjalnie z Polski... Była bardzo sympatyczna.

— Jak była ubrana królowa?

— Miała na sobie pastelową różową suknię i dużo biżuterii. Zaskoczyło mnie trochę to, że nie miała żadnej wymyślnej fryzury. Włosy ondulowane na tzw. baranki.

— Jakie inne zagraniczne aktorki zaproszono do Londynu?

— Uroczą Michele Morgan, Szwajcarkę Liselottę Pulver i Włoszkę Rosanę Schafiano. Z angielskich aktorek uczestniczyła w galowej ceremonii niezapomniana bohaterka filmu "Smak miodu" — miss Tushingam.

Rozmawiała: IRENA MARECKA

LISTY...

Dok. ze str. 27

toria tej pary też może znana byłaby tylko najbliższym kolegom i przyjacielom. Ale fakt, że tego rodzaju patologiczne rozumienie istoty małżeństwa zostało w tym jednym przypadku ujawnione, też może pobudzać do refleksji".

ANABELLA.

Przegląd ważniejszych wydarzeń

... W SÃO PAULO:

Najważniejszym wydarzeniem w São Paulo w maju br. była, niewątpliwie, akademie ku czci Konstytucji 3 Maja i bohaterów Powstania Styczniowego, urządzona dn. 5 maja staraniem Duszpasterstwa Polskiego w sali Dom Bosco.

Uroczystość poprzedziła Msza św. z kazaniem w kościele N. S. Auxiliadora. Kościół zapełnił się wiernymi do ostatniego miejsca.

Akademia, która odbyła się po nabożeństwie, zaliczona być może do najbardziej udanych. Słowo powitalne wygłosił ks. proboszcz Antoni Łatka. Podniósł przemówienie pt.: "Pokój Królowej Polski" wypowiedział następnie ks. kapelan Kasprzyk. Dzień 5 maja jest bowiem, jak wiadomo, dniem Najświętszej Paniienki Jasnogórskiej, Królowej Polski.

W części artystycznej odbył się popis chóru prowadzonego przez ks. kapelana Kasprzyka, zespołu tanecznego dziecięcego oraz szeregu deklamatorów i śpiewaków. Solo na fortepianie odegrała prof. Irena Katz. Podkreślić należy stale poprawiającą się formę chóru.

W Klubie 44 odbył się dn. 9 maja wieczór czwartkowy poświęcony rocznicy Konstytucji 3 Maja, stuleciu Powstania Styczniowego i rocznicy Powstania w Getcie Warszawskim. Utrzymane w doskonałej formie przemówienia okolicznościowe wygłosili pp. Jerzy Piątkowski i Karol Wędrzicki. Następnie, wyświetlone zostały dwa filmy krótkometrażowe z Dalekiego Wschodu, zrealizowane przez pp. Wandę i Mira Polenów. Jak na filmy amatorskie prace te zasługują na wysoką ocenę, zwłaszcza zaś film o Bangkoku, w którym m. in. ciekawie przedstawione zostało życie klasztorne i tańce anamickie.

Na zakończenie wieczoru dyrektor do spraw zagranicznych "Orbisu", p. Bolesław Wąsowski, zapoznał zebranych z warunkami wyjazdów do Polski.

(as)

... W KURYTYBIE:

W dniach od 3 do 5 maja odbył się w Kurytybie Pierwszy Zjazd Stowarzyszeń Polskich w Paranie. Temu doniosłemu wydarzeniu poświęcamy osobny artykuł.

W sierpniu br. upłynęła dwa lata nieprzerwanej pracy prowadzonej za pośrednictwem radiostacji Cambij w Araukarii w ramach t. zw. Programu Demokratycznego. Program ten mający na celu wytyczanie idei pionierskich w dziedzinie politycznej i społecznej, cieszy się dużym powodzeniem i ma sta-

tych, wiernych słuchaczy. W założeniu Programu Demokratycznego leży obrona drobnych posiadaczy ziemskich przed wyzyskiem ze strony pośredników, walka z niesprawiedliwością społeczną i popieranie ruchu dążącego do poprawy warunków bytu klas nieposiadających.

Stwierdzamy z prawdziwą przyjemnością, że organizatorami i realizatorami Programu Demokratycznego, cieszącego się całkowitym poparciem dyrektora radiostacji Cambij p. Anastazego Flizikowskiego, są Polacy prof. Franciszek Dranka i inż. Rizio Wachowicz.

Kilka wiadomości z Towarzystwa União Juventus w Kurytybie:

... nowy wyład spłacił już większość zobowiązań zaciągniętych w związku z rozbudową siedziby miejskiej Towarzystwa; wydatkowano dotąd 800 tys. kruczejrów, trzeba jeszcze 300 tys. kruczejrów na wykonanie pozostałych robót;

... przygotowany został projekt budowy siedziby wiejskiej Towarzystwa, przy czym realizacja tego projektu, opracowanego przez inż. Henryka Kujawę, ma nastąpić kosztem 10 milionów kruczejrów zaraz po zakończeniu robót przy rozbudowie siedziby miejskiej;

... przebiega pomyślnie zbiórka funduszy przeznaczonych na budowę siedziby wiejskiej stowarzyszenia, zainicjowana przez p. Jana Kaniakę; możemy zakomunikować, że jeden z członków, który prosił o niepodawanie jego nazwiska, przeznaczył na ten cel 100 tys. kruczejrów;

... sekcja społeczna Towarzystwa przygotowuje wielki bal świętojański; przewodniczącemu sekcji p. Surkowi poza jego zespołem dopomaga aktywnie w tym zakresie p. Wincenty Flenik.

(fd)

... W PONTA GROSSA:

Na zakończenie kilka słów o Towarzystwie "Odrodzenie" w Ponta Grossa. To pięknie rozwijające się stowarzyszenie obrabło niedawno nowy zarząd. Prezesem został znany działacz społeczny Władysław Lago, a wiceprezesem — Zofia Adamowicz. Z okazji wybrania nowych władz stowarzyszenie urządziło dn. 18 maja bal. Wielką atrakcją tego balu, który udał się znakomicie, był występ niedawno zorganizowanego zespołu tanecznego prowadzonego przez młodą i piękną prof. Hankę Stuczanoską. Uczestnicy balu gorąco oklaskiwali polonez i łowiczankę w wykonaniu zespołu oraz występ solowy prof. Stuczanoskiej w oberku. Akomponiowała, jak zwykle sprawnie, p. Zofia Adamowicz.

posiadaczy ziemskich, tłumaczenia polskich dzieł literackich i naukowych na język portugalski, szerzenia polskiej kultury teatralnej poprzez tłumaczenie i wystawianie po portugalsku sztuk autorów polskich, wreszcie zbierania danych historycznych dotyczących wychodźstwa polskiego w Brazylii. Postanowiono też dolożyć wszelkich starań w kierunku przeniesienia do Kurytyby zwłok znakomitego rzeźbiarza polskiego, Zaka, wzniesienia mu pomnika oraz zebrania w jednym miejscu jego dzieł.

W czasie obrad wygłoszonych zostało kilka ciekawych przemówień.

Tak więc prof. Bento Munhoz da Rocha Netto, mówiąc o wkładzie kultury i pracy Polonii brazylijskiej we wspólne dzieło wielkiej Brazylii, podniósł postępowe i twórcze znaczenie kolonii polskiej dla Brazylii, a inż. Edmund Gardoliński nakreślił postaci Polaków, którzy zapisali się złotymi literami w historii rozwoju Brazylii.

W okresie obrad Forum popisywały się co wieczór artystyczne zespoły polonijne. Polski Zespół Folklorystyczny przy Towarzystwie União Juventus, zwany też Młodym Mazowszem, dał przepiękny kolorowy program i został wynagrodzony przez widzów huraganowymi oklaskami. Nadspodziewanie dobrze spisała się Grupa Folkloru Polskiego z kolonii Dom Pedro oraz zespół teatralny z kolonii Orleans. Oba te zespoły przegwotał ks. prof. Tadeusz Kołodziejczyk.

I Forum Stowarzyszeń Polskich Brazylii powołane zostało z inicjatywy niestrudzonego działacza polonijnego, prezesa Tow. União Juventus, Rizia Wachowicza przy współpracy Wiktora Gardolińskiego i Franciszka Dranki. Firma handlowa Polparaná i jej dyrektorzy Julian Zawadzki i Polan Urban poparli materialnie I Forum organizując wspólny obiad dla przedstawicieli stowarzyszeń, biorących udział w obradach.

W sprawach natury technicznej wyróżnili się: Józef Piestrzeniewicz, który przygotował scenę na występy artystyczne i Mieczysław Surek, gospodarz wspaniałego, reprezentacyjnego balu.

JAN KANIAK

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ

Jak się dowiadujemy prezes Tow. União Juventus w Kurytybie, inż. Rizio Wachowicz, zgłosił swą kandydaturę na prefekta miasta Araukarii. Kandydaturę popierają miejscowi działacze społeczni, którzy mając na uwadze nieprzeciętne zdolności administracyjne p. Wachowicza, czego dał dowód współpracując z Fundacją Pomocy Pracownikowi Wiejskiemu (FATR), mają nadzieję, że przyczyni się on jako prefekt do naprawy nadwyższych finansów samorządowych Araukarii.

W maju br. przypada czwarta rocznica powołania do życia firmy Polparaná w Kurytybie. Założycielom i jej dyrekcji składamy w związku z tym najlepsze życzenia dalszego pomyślnego rozwoju tej pożytecznej placówki.

(fd)

W październiku r. ub. podawaliśmy wiadomość o sukcesach naszej młodej rodaczki, Glorii Danuty de Campos Twardowskiej, która uzyskała roczne stypendium w North Caroline High School w Maryland w Stanach Zjednoczonych. Jak nam obecnie donoszą urodziła panna Gloria jest prymusem w swojej klasie, członkiem Rady Studenckiej i pianistką w zespole szkolnym. Ostatnio zaś obrona została w swojej szkole Królową Maja.

(as)

I Forum Stowarzyszeń Polskich w Brazylii

W dniach od 3 do 5 maja odbyło się w Kurytybie I Forum Stowarzyszeń Polskich w Brazylii. Wzięło w nim udział ponad 30 towarzystw ze stanów: São Paulo, Paraná, Santa Catarina i Rio Grande do Sul.

Zadaniem I Forum było uaktywnienie działalności kulturalnej ośrodków polonijnych w Brazylii. Po trzydniowych gorących obradach uchwalono statut, stanowiący wytyczną do dalszej pracy. Ma on na celu przede wszystkim dążenie do skoordynowania działalności kulturalnej stowarzyszeń, skierowania tej działalności na tory bardziej kolektywne i ciągłe, nie zaś indywidualne i sporadyczne jak to miało miejsce dotychczas.

Forum wyłoniło pierwszą komisję koordynacyjną z dwuletnim okresem działania. W skład jej weszli następujący działacze: Franciszek Dranka jako prezes i pp. Anastazy Flizikowski, Marian Hessel, Henryk Gołas, Mieczysław Celiński, Jerzy Masłowski, Paweł Filipiak, Ruy Wachowicz i Wiktor Gardoliński jako członkowie.

Wśród rezolucji uchwalonych przez Forum zasługują na uwagę uchwały dotyczące ożywienia życia kulturalnego w zaniedbanych stowarzyszeniach w interiorze, wymiany informacji i myśli pomiędzy stowarzyszeniami, legalizacji statutów stowarzyszeń i ich nieruchomości, popierania akcji zrzeszania się drobnych

WIELKANOC U SOBOCIŃSKICH

Jesteśmy w r. 1914. W małym miasteczku parańskim Marechal Mallet mieszka w owym czasie około 70 proc. Polaków, 20 proc. Ukraińców, a tylko 10 proc. Brazylijczyków i Portugalczków, którzy przybyli tu mniej więcej w tym samym okresie tj. w końcu ubiegłego wieku. Rodziny sąsiedzkie, jak: Quadros, z której wywodzi się przyszły prezydent Brazylii, Pacheco, Pompéo, Esteves, Pereira, Silva, Rodrigues i Miranda, są nam bardzo przyjazne, chętnie przyjmują nasze obyczaje, a nawet mówią po polsku. Wielu z nich ma żony Polki. Jest też kilku kupców syryjskich, zwanych Turkami, którzy posługują się językiem polskim.

Mallet uchodzi (tak zresztą jest i teraz) za małą stolicę okręgu polskiego. W pobliżu mieszczą się kolonie: pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta, szоста i Rio Claro, miejscina zwana Czestochową brazylijską, o drewnianym, wysokowieżowym kościele budowanym przez naszego dziadka.

Zbliżają się święta. W domu Sobocińskich panuje wielki ruch, jak by się szykowało jakieś zebranie rodzinne.

Z matką nie ma w tym dniu żartów. Od samego rana powtarza:

— Niech mi nikt z domu nie wychodzi.

Tymczasem na ulicy czeka na mnie cała gromada chłopców ze szkoły brazylijskiej.

Paulo Pereira woła po polsku:

— Janek, chodź tu! Pójdźmy na ryby.

Odpowiadam, że nie mogę, bo jest dużo pracy w domu przed świętami, a na ryby zaproszę ich za dwa dni, kiedy będziemy czyścić zabite prosiaki i myć w rzece flaki na kiełbasy, dobra okazja do złapania wielu rybek.

Przy domu stoi pięć wozów. Jeden z naszej odległej fazendy, a czterema pozostałymi przyjechali wujowie i ciotki. Wuj Mikołaj wywala prawie 300-kilowego wiepra jakiejś sławnej rasy. Inni znoszą prosięta, koguty, kaczki, jaja, ogórki, buraki, chrzan, owoce i nie wiem już co.

Mama przydzieliła już wszystkim zadania. Starsi chłopcy mają pomagać służbie przy zabijaniu świń, ćwiartowaniu mięsa i kręceniu kiełbas. Córki — te starsze — zatrudnione są przy przyrządzaniu kaczek i kur, kiszzeniu ogórków, pieczeniu placków z rodzynkami, babek i innych wymyślnych ciast. Młodsze córki przygotowują pisanki, robią wycinanki z papieru, ztęrają kwiaty w ogrodzie do upiększenia domu i pomagają przy lżejszych pracach.

Ojciec troszczy się tymczasem, żeby niczego nie brakowało.

Wysyłając parobków na fazendę przykazuje:

— A nie zapomnijcie przywieźć dwie młode kozy, wóz arbuźów, worek kukurydzy, dużo świeżego manioku, chmielu na piwo domowe, dwie beczki wina, tego z Rio Grande i jedną z Dorisonu od Krzesimowskiego.

Ja z bratem knujemy coś na uboczu. Łowiectwo i rybołówstwo nie wychodzi nam z głowy. Postanawiamy, że trzeba się postarać na święta o dwie sarny, co najmniej dwie paki, kilka dzikich indyków (jacú), kilka kuropatw polnych (perdigão), leśnych (nambu) i dużo dzikich gółębi i kaczek. "Chorubci" zabijemy na szkarze znajomej Rusinki, a ryby będziemy łowić w stawie Wolskiego, gdzie jest także dużo dzikich kaczek.

Wyjeżdżamy na polowanie codziennie o 4 rano konno z naszymi wytresowanymi pieskami, których mamy z pół tuzina, a z powrotem jedziemy po drobiazgi leśny. Wytieramy z siodła kilkanaście sztuk nambu, juruti, urú i do domu.

Mama Sobocińska jest bardzo pobożna. Nie tylko, że nie pozwala jeść mięsa, aż do Wielkiej Soboty, ale jeszcze zabrania pokojówce Andzi opowiadania bajek. Nawet Szeherazada mogłaby się dużo nauczyć od

naszej Andzi, gdyby spisać wszystkie bajki, które nam opowiedziała, starczyło by tego na kilka tomów.

Wieczorami więc zamiast słuchać bajki pracowało się przy kiełbasach i salcesonach, zimnych nogach i pisankach, śpiewając piosenki wielkanocne, które nasza mama znała jak nikt, gdyż śpiewała w chórze kościelnym w Rio Claro. Jeden z nas największy łobuz śpiewał:

*"Bań-durdu, bań-durdu, bańdurka puka,
Bań-durdu, bań-durdu, a bo się stłukła.
Ma babka, ma babka, piniunżki w lesie.
Kijem ją, kijem ją, to je przyniesie.
Tu grzybek, tu grzybek, tu syrowiatka.
Tu panna, tu panna, a tu mężatka".*

Tak schodził nam czas od poniedziałku do Wielkiego Piątku, dnia, kiedy nie wolno było pracować, śpiewać, a nawet wychodzić z domu. W nocy wszyscy szli do kościoła na procesję. Mama wszystkim przypominała, że nie wolno grzeszyć, bo w sobotę pójdziemy do spowiedzi, a w niedzielę do komunii.

Za to w Wielką Sobotę od samego rana na ulicach pełno ludzi, śmiechy, nawoływania, krzyk. Ulice zagrodzone płotami, na palach wiszą bałwany, szyldy pozamieniane. Przed przychodnią dentysty wisi szyld piekarni, przed piekarnią — wywieszka urzędu skarbowego, przed biurem adwokata szyld rzeźnika. Ktoś się skarży, że ukradziono mu dwa czarne konie, ale za to w stajni zastał krowę z cielakiem. Innemu zamieniono stary wóz na piękną bryczkę, należącą do prefekta, wóz zaś znaleziono w rzece pod mostem.

Konstytucja Trzeciego Maja wiecznie żywa

Moment, który przeżywamy jest momentem historycznym. 3 maja 1791 r. uchwalona została na ziemi polskiej jedna z pierwszych prawdziwie demokratycznych konstytucji w dziejach świata.

W końcu XVIII w. Europa skąpała się w krwi dążąc do wprowadzenia w stosunki międzyludzkie zasad Wolności, Równości i Braterstwa. Zadrzały podwaliny ówczesnego świata, padała w gruzy zacofana struktura społeczna, rewolucja sumienia i krwi rozsadzała feudalizm z jego przywilejami, nie-ludzkością, niesprawiedliwością społeczną.

Grabiona i rozszarpywana przez wiecznie niesytych sąsiadów Polska potrafiła wprowadzić 3 maja 1791 r. bez rozlewu krwi demokratyczną konstytucję.

Jest to konstytucja, która obalając liberum veto, owo nienaruszalne tabu, krepujące i niewołące społeczność w obronie interesów partykularnych, stanowi kartę praw szczególną, prototyp i natchnienie swobód demokratycznych innych narodów. Oparta o zasadę równości klas zrywa raz na zawsze z przywilejami arystokracji.

Jest to jednocześnie konstytucja, która zadała cios śmiertelny ciemnocie ustalając dla wszystkich warstw społecznych prawo dostępu do oświaty; konstytucja, która ofiarowała chłopu, zmuszanemu do pracy pańszczyźnianej, prawo do własnej ziemi.

Konstytucja ta to chorągiew ludów. Ona to dała chłopu prawo do życia, wyzwalała go spod władzy pana feudalnego, pana życia i śmierci poddanego.

Konstytucja ta, niosąca nieznaną na owe czasy postępną na polu społecznym i gospodarczym to prawdziwa rewolucja pokojowa w zakresie poglądów na rolę społeczeństwa i państwa.

Ta konstytucja proklamowana 172 lata temu w Katedrze św. Jana, wciąż jeszcze nie straciła siły atrakcyjnej, jej idee są wiecznie piękne i żywe.

Młodzież, która robiła te figle, ciężko się przy tym w nocy napracowała, a jeszcze w dodatku musiało pół dnia poświęcić na przywrócenie wszystkiego do porządku. Mimo to widziało się ją w południe, pełną wigoru, przy paleniu judaszów.

Nadchodzi niedziela. Rano wszyscy pięknie przyodziani z książeczkami do nabożeństwa w rękę, mama z kancyzką w oprawie z kości słoniowej, różańce, każdemu po-brzękują w kieszeni srebrne monety księdzu na tacę, a w powozie koszyki pełne babek, placków, pierników, mazurków, nadziewanych kur, kiełbas, pisanek, pieczeni — do poświęcenia. Konie w powozie z dzwonekami, kokardami, wstążkami jak na wesele, bo trzeba pokazać, że nasza rodzina zamożna. Starsi synowie co chwila strzelają z bicza.

W kościele ruch niebywały, ludzie przynoszą kosze do poświęcenia, chór śpiewa od samego rana, mężczyźni nie mieszczą się, więc stoją w drzwiach i przed kościołem, młodzież jeszcze dalej. Wszyscy czekają na mszę świętą, komunię i poświęcenie darów bożych.

Wreszcie wychodzi sympatyczny ksiądz proboszcz Kandora i zaczyna się nabożeństwo. Wiele kobiet płacze. Wszystko tu jak w Polsce, jak w Niezawie, Włocławku, Łowiczu, czy Inowrocławiu.

Po powrocie z kościoła zasiadamy do obiadu rodzinnego. Są i goście, w tym również Brazylijczycy, podziwiający nasze obyczaje i pieśni. Obiad jest suto polewany winem, piwem domowej roboty, likierami i trunkami doprawianymi sokiem z tutejszych owoców. Dzieci piją wodę z sokiem z winogron i malin, gazozy i capilé (wodę z syropem).

JAN SOBOCIŃSKI

Dziś jeszcze wracamy do niej jako do źródła światłości w dobie walki o sprawiedliwość społeczną, w dobie walki z krzywdą człowieczą.

FRANCISZEK DRANKA

Czytelnicy nasi piszą...

P. JAN ROSTWOROWSKI prosi nas o zaznaczenie, że tom Jego wierszy pt.: "OPATOWA ANNA" w bibliofilskim wydaniu Oficyny Stanisława Gliwy znajduje się już w sprzedaży we wszystkich księgarniach w Londynie. Można go również nabyć u autora pod adresem: Jan Rostworowski Anslow House, Anslow, Burton-on-Trent, England. Tom wydany został na czerpanym papierze, ozdobnym drukiem, z wielobarwnymi ilustracjami.

P. WARZYNIC GACEK z Utica USA, za-pytuje, czy w Brazylii północ zalicza się do strefy gorącej, czy też chłodnej i czy, gdy stanie się tam w południe zwróconym do słońca — wschód znajduje się po prawej czy po lewej stronie?

Północ zalicza się w Brazylii do strefy gorącej, a południe do bardziej umiarkowanej. W południe, gdy stanie się twarzą do słońca, wschód znajduje się po prawej ręce.

Nasz stary i wierny prenumerator pan HENRYK SZULC prosi nas o zaznaczenie, że wydaje w Rio de Janeiro "Brazilian American Survey" w języku angielskim i portugalskim, poświęcone rozpowszechnianiu informacji o Brazylii. Pismo to w rb. obchodzi dziesięciolecie swego istnienia.

Ze swej strony pragniemy dodać, że "Brazilian American Survey" jest pismem doskonale redagowanym, zasilanym przez najlepsze pióra.

METALÚRGICA "JOMAZI" LTDA.

— Jerzy Durynek —

Imadła precyzyjne — narzynacze gwintów zewnętrzne do $\frac{3}{4}$ (mazimetric) — gwintownice do rur typu "Armstrong" od $\frac{1}{2}$ do 1" — krany automatyczne do pomp benzynowych.

Bory do gwintów od $\frac{1}{8}$ do $\frac{5}{8}$

NARZĘDZIA PRECYZYJNE

Telefon: — 80-5698

Rua Tabapuã, 1.462

SÃO PAULO

Automecânica ITPOL Ltda.

OFICINA AUTORIZADA SIMCA DO BRASIL

Naprawa ogólna samochodów SIMCA oraz karoserii.

Malowanie nadwozi. Wykonanie solidne.

Posiadamy nowe wozy "Chambord", które sprzedajemy

z gwarancją 8 miesięcy.

Rua Oscar Freire, 1965 — Telefon: — 80-1390

POGOTOWIE W DZIEŃ I W NOCY.

SÃO PAULO.

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES

E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Rua Libero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413 SÃO PAULO

SPIG

Sociedade Paulista de Instalações Gerais Ltda.

PROJETOS

INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS

ELETRICIDADE

MECÂNICA

HIDRÁULICA

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 - (Rêde Interna)

End. Telegr.: "SPIGERAL"

São Paulo



TRANSPORTES RODOVIÁRIOS PARA:

São Paulo
Salvador
Recife

Av. Guilherme Cotching, 776

Fone: 93-7910 — SÃO PAULO.



W nowym filmie: "Ich dzień powszedni autor i reżyser A. Ścibor-Rylski pragnie ukazać r.a przykładzie jednego małżeństwa niektóre przyczyny konfliktów utrudniających porozumienie się dwojga ludzi. Na zdjęciu w filmie Aleksandra Śląska.



Już osiem lat pracuje w Świnoujściu Międzyszkolne Ognisko Plastyczne prowadzone przez Zofię Kuglin. Rysunki dzieci zdobyły 10 medali (Japonia i Włochy).



Dorożkarza w meloniku można zobaczyć już tylko w Krakowie...



Przymierzalnia strojów ślubnych w Warszawie.

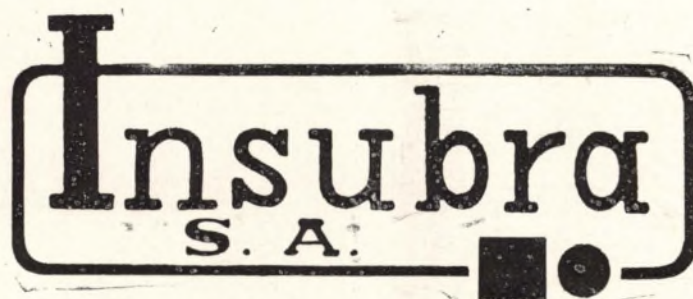
RESIL S. A.

INDÚSTRIA E COMÉRCIO

RUA MARTIM BURCHARD 254

FONES: 93-5050 - 92-2498

**CARCASSAS DE MOLAS DE AÇO
PARA VEÍCULOS MOTORIZADOS**



A MAIS COMPLETA LINHA DE TÔDAS AS MÁQUINAS PARA SEU ESCRITÓRIO

Distribuidores exclusivos no Brasil das seguintes marcas:

ADLER — máquinas de escrever e de contabilidade

EVEREST — máquinas de escrever e somar, de calcular e de contabilidade

ROTO-CENTO-PRINTO — duplicadores e mimeógrafos a álcool, tinta e processos heliográficos

CITOGRAPH — equipamentos de endereçar e organização

ORMIG — máquinas de racionalização e organização de trabalho

DIEHL — máquinas de calcular superautomáticas

POSTALIA — máquinas para franquiar correspondência e selos fiscais.

São Paulo: — rua Vitória, 302/4, fone: 37-3171

Rio de Janeiro: — Av. Rio Branco, 138, 14.º, fone: 22-6663 e 22-9880

Pôrto Alegre: — Praça Rui Barbosa, 220 Ed. Tannhauser 2.º, fone: 8323

DISTRIBUIDORES AUTORIZADOS NAS OUTRAS CAPITAIS DO PAÍS.

Tricot-lã

sweater
original

